



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 8.0

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

JULIA PETÖFI.

(Dalszy ciąg.)

Petőfi należał do liczby takich, czy przez serce nadmiernie bogatych, czy ciężko biednych. Przypuszczał przecież w Julii niestałość, łatwość przeniewierzenia się jego pamięci, a niemniej kochał; bo jakąż też była miłość jego zaślepiona, gorąca, nie zdolna odczuć w ukochanej tych braków, które właśnie powinny były razić serce poety? Zostawszy narzeczonym, pisze w liście do Kerenyi'ego: „Musiała wybierać pomiędzy mną a rodzicami i mnie wybrała! Była żrenicą oka tych rodziców, którzy od najpierwszego dzieciństwa spełniali wszystkie jej pragnienia, wszystkie zamysły, którzy darząc ją tak bogato wszystkim, co mogli, nie dotknęli jej nigdy słowem surowym— a jednak wybrała mnie!...”

Nie zamyślił się nad tem niespokojnie, nie zapytał: czy wdzięcznym było jej serce? On, który wiedział, że gdyby ktoś inny, ktoś mniej szlachetny i uczciwy, niż on, został jej ukochanym, ei dobrzy rodzice mogliby byli gorzko zapłakać na córkę, że ich odbiegała, że rzuciła ich dom rodzinny, obywając się bez ich błogosławieństwa, bez ich pocałunku, na drogę życia danego!... Ale on, wdzięczny tylko za miłość otrzymaną, za zrozumianą, jak sądził, uczuć swoich siłę, woła: „W tem dziewięciu mieszka Bóg, który głębiej sere przenika i pod szlamem dna morskiego, czystą perłę odkrywał Niech błogosławioną będzie ona i jej imię, tak jak ja ubłogosławiony przez nią jestem...”

„Jestem szczęśliwy nazawsze... Cudowna, cudowna ty jesteś, dziewczyno moja! Ciebie to szu-

kałem od lat pierwszych mojej młodości. Każdą kobietę, do której się zbliżałem, brałem za ciebie; myśląc, że to ty jesteś, kłękłem, gotowy modlić się i uwielbiać; ale prędko poznawałem, że się mylę, że się kłaniam bóstwu fałszywemu! Aż nareszcie znalazłem cię!... Tyś jest słodki nektar, który uzdrowi duszę moją, tak długo zatruwaną napojem zguby!”

Później już, zamieszkując Peszt, więc po smutnych wizjach przeczutej przyszłości: zapomnienia i niewiary, pisze, też do Kerenyi'ego: „Zastaniesz mnie zawsze w domu. Z wędrownego ptaka, stałem się ptakiem domowym. Życie nie jest już teraz tak romantycznym, ale szczęśliwszem. Jeżeli nie wierzysz, spróbuj... tylko trzeba, abyś dostał taką żonę, jak moja...”

Wrzesień był dla Petöfi'ego miesiącem przeznaczenia: 7 Września 1846 r., poznał Julię Szendrey; 8 Września 1847 r. brał z nią ślub; we Wrześniu 1848 r. porwała go fala losu, która miała go unieść w przepaść zatracenia. Wojna wybuchnęła płomieniem, ogarniającym kraj cały, on wstąpił do wojska, i Julia, która miała wkrótce zostać matką, pojechała za nim. Chciał ją zostawić w Erdöd u rodziców, ale nie przystała na to. Powstanie Rumunów, ogarniające tamte strony Węgier, groziło bezpieczeństwu właścicieli ziemskich, ale groźba niebezpieczeństwa wisiała nad całym krajem choć pod rozmaitą postacią. W Peszcie nie chciała również pozostać, bo tu przy środkach bardzo ograniczonych musiałaby wieść życie również ograniczone do najściślejszych jego konieczności, co zaczynało już jej ciążyć, zaczęło jej się przykrzeć, zwłaszcza z chwilą, gdy burza zaciemniała horyzont polityczny, odwracała uwagę ludzką od „pięknych dusz” i ich poetyzowania. Wypadło to właśnie po półrocznym pożyciu małżeńskim młodej pary. W końcu Lutego 1848 r. Peszt już wrzał wzruszeniem niespokojnym, które jeszcze wzmogło się w Marcu. Losy Węgier ważyły się na szali, któ-

rej ujęcie wrywały sobie partye, i Petöfi spędzał większą część dnia poza domem, który osamotniał, bo i gość obcy rzadko tu już teraz zaglądał. Czasy szumnego wylewu uczuć minęły; namiętności przenosiły się na forum; Julia zostawiana samej sobie, rozdrażniona, cierpiąca, poczuła silnie odczuwać braki niezamożności męża, poczęła czuć się nieszczęśliwą i rozczarowaną.

Przecież, gdy wojna wybuchnęła, nie chce wracać do starego zamku w Szatmar, gdzie rodzice otoczyliby ją dostatkiem i wygodą, jaką zapewniała wieś i stanowisko jej ojca. Postanawia dzielić obozowe życie męża; zbiera siły, okazuje rzeczywiste niemale odwagę, niemale moc woli w upartem swem postanowieniu i d. 15 Grudnia 1848 r. o godzinie 12 w południe rodzi się Petöfiemu syn, w Debreczynie, gdzie stał kwaterą.

Dziecko było niezmiernie słabe, malusieńkie, ale ojciec cieszył się z niego niezmiernie:— „Ja i moja Juliska byliśmy niewypowiedzianie szczęśliwi”... pisze w pewnego rodzaju biografii swego siedmiomiesięcznego synka, którą kreślił w obozie w Meröberény, na kilka dni przed bitwą, z której nie wrócił!

Biografia ta pisana jest jakoby żartobliwie, to jest żartobliwie tylko się zaczyna, ale są w niej dalej ustępy tkliwe i pełne słodkiego uczucia. Synek jego okazał się bardzo dobrą dzieciną; spał cichutko bez kołyski i dwa krzesła, foteliki trzciniowe służyły mu za łóżko. Biedaczek! przyszedł na świat taki słabiuchny, że go brano za nieżywego; na trzeci dzień zachorował bardzo i tak, że serce ojcowskie już się o niego lekało, ale wkrótce wyzdrowiał i potem już „odważnie przyjmował życie.” Do chrztu trzymał go Jan Arany— „wielki poeta, i najuczciwszy człowiek na świecie; „ten nadał mu imię Zoltan”. Piękne imię... młodemu ojcu tak brzmiało, przynajmniej i powtarza je też kilkakrotnie, jakgdyby było dźwiękiem jakiejś najmiłszej muzyki.

Ten synek jego okazał tylko jeden zły upór. Długo nie chciał przyjąć piersi matczynej. Może przeczuwał, że mógłby wyssać z jej mlekiem egoizm i zdradę!

Sześć tygodni tylko karmila go ta matka. Pełni musiał z pulkiem swoim wyruszyć do Siedmiogrodu i „biedna straciła pokarm ze wzruszenia”... I teraz jeszcze *piękna dusza* chciała się okazać duszą bohaterską, towarzyszyć mężowi dalej w pole, ale tu już on i sędziwy poeta Arany, wytłómaczyli jej niemożliwość tego postępu. I tak mamki co kilka dni uciekały; Julia musiała pozostać czas jakiś w Debreczynie, potem z dzieckiem wyjechała do Szolanty, do domu ojca chrzestnego.

W Maju Petöfi wrócił do domu, szczęśliwy zwycięzca; żonę z dzieckiem od przyjaciela zabrał, do Pesztu z niemi się udał, gdy nastąpiła druga faza wojny. Obce mocarstwo wkroczyło do Węgier; Petöfi musiał stanąć w szeregach swego pułku i wraz z nim wyruszył znów w pole, a żona—tkliwa, niezdolna znieść rozdziału żona, pociągnęła za nim z dzieciątkiem i mamką.

Było to w Lipcu 1849 r. Petöfi zginął, przepadł tajemniczo, jak kamień rzucony w wodę, i Julia wróciła do Pesztu. Czy była wdową? Przyjaciele zaginionego i naród cały wątpili.

Według Legendy Julia, przebrana w suknie chłopca, poszukiwała ciała mężowskiego na polobojowisku, ale krwawe pola Schässburga nie oddały jej nawet trupa! Pełna najgwałtowniejszej boleści, lecąca ludziom przez ręce, wróciła do Pesztu, gdzie ją otoczyło najżywsze współczucie, nietylko już przyjaciół, ale wszystkich, którym w piersiach były serca węgierskie. Odkrywano głowy, gdy się gdzieś ukazała w szatach grubej żaloby, bolesna wdowa po drogim narodowi poecie i bohaterze, z dzieciątkiem jego na rękę. Najznakomitsi, najpierwsi w kraju ludzie śpieszyli do niej, pisali, pocieszając, czyniąc nadzieję, że mąż jej żyje i odnalezionym zostanie. Wszelkie możliwe w tym celu kroki czynione były przez osoby najbardziej wpływowe: jej przeciw radzono, aby wracała na wieś do przyzywających ją rodziców. Tam, i jej, i dziecku, mogło być najlepiej. Cisza, spokój wśród natury koi najsrożej rozdarła serca, dom rodzinny tkliwie utula; przytem synek jej był bardzo warty, bardzo delikatny, i z tego względu poczęto nawet nalegać na nią, aby go na wieś wywiozła. Przytem brakowało środków utrzymania się w mieście a Węgry były zubożałe, wycieńczone przez wojnę i każde grosz stawał się drogim ze względu na przeznaczenie, jakie mu dać należało. Ranni leżeli po lazaretach, po chatach wieśniaczych; rozbitki błakali się po kraju bez chleba i dachu, kryli się po lasach. Jedni uchodzili za granicę, w świat, drudzy w góry i stopy puszczy, aby skończyć z życiem w legowisku swem starem. Na wszystkie strony trzeba myśleć o pomocy o wsparciu jakimtakiem, i dawano Julii do poznania, że naród przeciążony jest i nie może podjąć takim nawet obowiązkiem, które za święte uważa.

Na uwagi nakłaniających ją do wyjazdu odpowiedziała łzami dodając, że się utrzyma z pracy literackiej, ale było to marzenie najzłudniejsze. Jeżeli Petöfi przy wielkim i powszechnie uznanym talencie, w czasach owiele szczęśliwszych, zdołał zdobyć sobie piórem tyle tylko, aby rodzina wyżyć mogła w warunkach najskromniejszego bytu: to cóż ona, kobieta, i w chwilach takich, gdy książka wypadła ludziom z ręki, bo życie rzeczywiste było jakgdyby opowieścią widzeń dantejskich, a tragedia grała się po ulicach?!

Rodzice Julii przysłali jej coś grosza, ale i tam położenie było ciężkie. Ojciec jej, ucziwy, prostoduszny człowiek starej daty, majątku na korzystnej swej posiadzie nie zrobił; dobra, któremi zarządzał i kraj, okoliczny zniszczyły przechody wojsk; choć więc życie na miejscu było jeszcze wolnem od braków dokuczliwych, pieniądź stał się trudnym do zdobycia i trzeba było ponosić wielkie ofiary, aby go zebrać. Pisano to Julii i wzywano ją, zaklinano, aby przyjeżdżała do rodzinnego domu.

Do starego posepnego zamczyska! W samotność, w ciszę, gdzie życie płynęło tak jednostajnie, jak woda w strumieniu, gdzie poszłaby za nią tylko żałoba wdowy, tylko obowiązek matki!...

Nie... ona takiego życia znieść nie mogła, znieść nie chciała i wołała biedę, wołała braki najcięższe. Odpisała też rodzicom to samo, co mówiła przyjaciółom męża: że nie może, nie może oderwać się od miejsca, z którym ją związały najdroższe utraconego szczęścia wspomnienia!

Wspomnienia drogiej istoty, ukochanych cieni idą za nami wszędzie—wszędzie z nami są dniami i nocą; ale Julia czuła inaczej, bo Julia przedewszystkiem kochała siebie samą—samą siebie nosiła w sercu!

I była przez to samolubstwem nieszczęśliwą tak, że patrząc na nią z oderwanego punktu widzenia rzeczy, żalować jej trzeba. Utrzymać się na stanowisku dawnem: otaczanej, uwielbianej kobiety, przytrzymać uchodzącą swolna rozgłosność, znaczenie i holdy, składane jej niegdyś,—zaczęło się stawać coraz, coraz trudniejszym. Zrażała sobie ludzi przez upór i nietakt, lecz w miejscu skruchy i poczucia się do winy, tylko uczucie gorzkiego do nich żalu wstępowało w jej serce. O! jak byli niemiłosierni! Jak niemiłosiernym—niemiłosiernym był dla niej świat, wiążący ją gwałtem z jej żalobą, z przeszłością tą okrutną, w której głębi krył się błąd, krwawy cień, i czyż ona miała już nazawsze, nazawsze z nim pozostać?

— O ja nieszczęśliwa! nieszczęśliwa — pisała w ósmym miesiącu swego wdowieństwa do jednego z pozostałych jej jeszcze przyjaciół dawnych—niema już teraz dla mnie spokoju, ani na chwilę jedną... Skoro zostanie sama, czuję się blizką szaleństwa i co wieczór płaczę, płaczę tak długo, aż z sił obrona, zapadam w głęboki, jak omdlenie ciężki, świadomość życia odbierający sen! Ale niestety! i wtedy jeszcze niema końca cierpieniom moim, bo mi je dają marzenia przerażające...“

(Dokończenie nastąpi).

POGA WĘDKA

— Czy to prawda, że pan był na zaćmieniu słońca w Rypinie?

— A byłem.

— W w Rypinie?!

— A Rypinie.

— I co pana tam zaprowadziło?

— To samo, co innych do Mławy, a drugich do Wilna: ciekawość.

— Ależ Rypin!... taka dziura!...

— Widać z niej słońce, tak samo, jak z Paryża, a zresztą podobała mi się właśnie taka sprzecznosc. Otateczności się schodzą.

Powyższą rozmowę powtórzyłem z małemi odmianami niezliczoną ilość razy po powrocie z tego biednego miasteczka, które dotychczas było synonimem zapadłego kąta na partykularzu, a przecież to miasto powiatowe, mrowane, brukowane, targowe, siedlisko władz i urzędów, ma pocztę i telegraf, ma ochotniczą straż ogniową i szopę na narzędzia do gaszenia, w której od czasu do czasu dają... przedstawienia amatorskie, ma ładny kościół katolicki i drugi ewangelicki, ma nawet starą bramę grodzką, czy zamkową „przy której niegdyś siadali rycerze”, jak opowiadają podania w ustnych kronikach, ma wreszcie ładne położenie i ze trzy tysiące mieszkańców.

Nie spróbuję wprawdzie wyliczać tego, czego nie ma, zacząwszy od gościńca i zajazdu a skończywszy na obserwatorium astronomicznym, któreby się w tak wyjątkowych chwilach, jak totalne zaćmienie słońca, przydać mogło, oileby to zaćmienie nie było sprawą czysto domową i buciarową tajemnicą gwiazdzystych stadał.

Rozumie się, że taksamo, jak wszyskim w głównym pasie zaćmieniowym, nie widziałem ani słońca, ani księżycy, ani korony słonecznej, ani zagadkowych protuberancyj.

Pocieszałem się tem przynajmniej, że w Rypinie nigdy nie było nic do widzenia: więc dla czegoż wbrew tradycji miało tam właśnie widzialnem być najwspanialsze zjawisko niebieskie wtedy, kiedy się nigdzie i nikomu od Łomży aż hen daleko na północ nie odsoniło?...

Niebo było zachmurzone, mazgajowate, zapłakane, deszcz padał cichemi łzami właśnie przed samym wschodem i počas całego zaćmienia, a mimo to, nie pamiętam tak głębokiego wrażenia oddawna, jakie na mnie sprawiło to chwilowe zniknięcie słońca i zgaśnięcie światła niebieskiego.

Było się przecież uprzedzonym, przygotowanym, co do godziny i minuty, a jednak jakiś dreszcz przeszedł po całym ciele, kiedy nagle z jasnego dnia zrobiła się tajemnicza, dziwna jakaś noc, a raczej ciemny zmierzch tych gwiazdzystych, letnich nocy, w których niby widać a nie widać.

Zdawało się, że całej naturze i wszelkiemu stworzeniu oddech zaparło w piersi... umilkło wszystko, co żyło.

W tem zgluchnięciu nagle i w ciemności jest coś z tajemniczej, tragicznej jakiejś grozy, z którą nie da się nic innego porównać. Trzeba mieć nerwy grube, jak podeszew, a duszę nieczułą zupełnie, aby nie poddać się wrażeniu, przejmującemu wrażliwsze natury do głębi.

Zdaje mi się, że gdybym był ślepy, byłbym odczuł chwilę zupełnego zaćmienia samemi nerwami.

Nie lubię dzielić pewnych podniosłych, lub głębokich wrażeń z dużym tłumem; wytwarza to we mnie pewien osobliwy rozdźwięk, który mi nie pozwala całkowicie przejąć się daną chwilą lub podziwianym widokiem.

Jak w teatrze nie potrafiłbym, na wzór Ludwika Bawarskiego, wysiedzieć sam w kątku ciemnej łoży, na przedstawieniu bez publiczności, tak znów wobec natury lubię być samotnym i jak kochanek z kochanką najlepiej rozkoszować się mogę w najściślejszym z nią *tête-à-tête*.

Może to dziwactwo, ale ja ich mam więcej w tym rodzaju. Są ludzie, którzy potrafią rozwiązywać matematyczne zadania podczas odgłosu tańców i muzyki za ścianą, są tacy (powiedziałbym: poeci, gdybym chciał pochlebić wierszobom), co składają rymy najswobodniej, kiedy do koła nich rozbrzmiewa gwarna rozmowa; podziwiam ich,—ja nie umiem pisać, kiedy czuję, czykolwiek wzrok na siebie, a naodwrot, ławiejby mi przyszło improwizować mowę wobec setek słuchaczy, niż odczytać rękopismo trzem najbliższymi Arystarchom.

Różne bywają usposobienia, różne indywidualności, tak samo jednostek, jak całych tłumów. Jeżeliście czytali szczegółowe sprawozdanie w pismach o wrażeniu, jakie wywołało zaćmienie słońca, to musieliście zauważyć, że nie objawiało się ono jednakowo w massach. Jedne gapily się po prostu, jak na publiczne dziwowisko i rozchodziły do domów zawiedzione, z lekceważeniem, z dowcipkami na ustach; inne z jakąś tajemniczą grozą patrzyły w niebo i pod wrażeniem przegnębienia wyczekiwały chwili zaćmienia, witały je bolesnym jękiem, a powracające światło okrzykiem radości. Gdzieindziej, z bezmyślnością dusz płytkich a głów pustych, oklaskiwano słońce, jak kuglarza, wyprawiającego sztuczki na niebie i znikającego w oczach widzów na wzór nieboszczyka Hermanna, profesora białej i czarnej magii.

Może to niezupełny sofizmat, który gdzieś wyczytałem: „Powiedz mi, jak czujesz, ja ci powiem, jak myślisz”...

Pod względem naukowym wszelkie przygotowania astronomów na nie się nie zdały; niebo pozazdrościło swoich tajemnic ciekawym ludziom. Trzeba będzie czekać znów długie lata, podobno, co najmniej ćwierć wieku, aby doczekać się drugi raz zaćmienia słońca całkowitego.

Wielu z nas pogasnie na ziemi, nim się powtórzy to zjawisko na niebie... Ja jeśli się go jeszcze doczekam, nie pojedę już więcej do Rypina, choć może do tego czasu będzie i szossa prowadziła do niego, i austeryą jakąś założy ktoś na miejscu i będzie tam coś więcej do widzenia, niż stada

gęsi na targu, czekające niemieckich kupców z Prus. Wybiore się natomiast do Kiernozi, Smorgoni, lub Ryczywoła dla oryginalności, oile stare kości zgodzą się jeszcze na taką ryzykowną dla nich wyprawę.

Tymczasem zaledwie rozsznurowałem mój wędrowny mantelzaczek, już go znowu trzeba będzie spakować i wyruszyć w drogę na... Krakowską wystawę krajową, która zapowiada się podobno świetnie.

Z tego, co czytam w korespondencyach, widzę, że Galicya chce zaimponować, a Kraków przejął się głębiej, niż zwykle, rolą gościnnego gospodarza.

Z wystawą krajową połączono wystawę sztuki polskiej w Sukiennicach; projektowane są zjazdy prawników, kółek rolniczych, kupców i przemysłowców.

Dwaj arcyksiężęta panującego domu, następca tronu Rudolf ze stryjem swym Karolem Ludwikiem mają uświetnić obecnością swoją uroczystość otwarcia wystawy w 1-go Września.

Zapewne zwiędza ją licznie nasze powracające jaskółki z wycieczek zagranicznych. Rozpoczyna się bowiem powrót gości kąpielowych, letników, kuracuszów etc. etc.; liczba przyjezdnych do Warszawy przerasta znów liczbę wyjeżdżających. Willegiatura nie bardzo się udała w tym roku, same kontrasty—upały tropikalne i chłody północne, posucha pustynna i deszcze nieustanne. Przyjdzie może najpiękniejsza i najmiłsza jesień polska z babiem latem, na pocieszenie zapóźnionych uciekinierów miejskich, a wtedy powetują sobie nieszczególne wakacje.

Pierwsza na miejscu stawiła się młodzież szkolna; wraca to wszystko ogorzałe, pyzate, uśmiechnięte i odpasione na maminym chlebie. Do szkół tłok większy, niż kiedykolwiek, bo i dostęp znowu trudniejszy i warunki nie dla każdego możliwe.

Gdybyście, jak coroku, pamiętać chcieli o Benjaminkach naszych i nie poskąpili trochę grosza na wpisy!... Przyszło do mnie kilku z prośbą, by im pomóż:

— Pan napisze, to dadzą—mówili mi z wiarą, która pochlebia kronikarzowi, ale go smutkiem przejmuje na myśl, żeście wy ją zawieść gotowi. Nie, wy nie tacy—nieprawdaż?... tym niebożetom w mundurkach pomożecie kupić oleju do głowy—niech im choć w głowach trochę jaśnieją będzie. Damy wszyscy potrosze i choć kilku, choć dwóch, choć jednego będzie można wpisać za opłatą. Dwadzieścia rubli na półrocze, to wydatek, który przeciąża dziś niejednego najoszczędniejszy budżet familijny, zwłaszcza, jeżeli się ma nie jednego, ale kilku synów w szkołach.

Powiadają, że się interessa odrobinę poprawiać zaczynają, że wyłazimy powolutku z biedy; niewiele tego widać.

Zagranicą znacznie mniej Polaków w tym roku spotykało się po wszelkich badach i *curortach*; wyjeżdżali ci tylko, którzy koniecznie musieli, albo którym ostatecznie wydatek na taką wycieczkę pomimo niesprzyjających kursów wielkiej różnicy nie zrobił

Ostenda, Marienbad, Karlsbad i inne głośniejsze miejsca lecznicze straciły wielu gości z nad Wisły; zyskały natomiast „wody” krajowe i stacje klimatyczne, jak Zakopane, Krynica, Ojców, Nałęczów i t. p.

Może to z czasem wejdzie u nas w modę spędzać lato „u siebie” i nie włożyć się po cudzych kątach.

Uważaliście zapewne, że w powietrzu, w naturze, w chłodniejszych rankach, we wcześniejszych zmrokach znać już pierwsze tchnienia jesieni. Owoce zastępują coraz rzadszy kwiat, coraz więcej jesiennych tematów wchodzi na porządek dzienny. Towarzystwo Ogrodnicze dało hasło, urządzając prywatną wystawę Pomony, w skromnym swoim lokalu przy ulicy Chmielnej, nie dla popisu, nie dla zysków, lecz na pożytek i dla nauki pomologów. Zebrano rozmaite odmiany jabłek, gruszek, śliwek, moreli, brzoskwiń, malin i poziomek.

Trzeba się obywać smakiem i poprzestawać na samym widoku—a to dla mnie i dla wielu zapewne innych amatorów smacznego owocu stano-

wi, jeżeli nie ujemną, to drażniącą stronę wystawy. Kiedyż nareszcie ta spółka owocowa zacznie raz na seryo funkcjonować i racjonalnie eksploatować sady? może znowu na drugi termin uczestnicy jej zapomną stawić się u rejenta w celu podpisania kontraktu i stanie się skandal jedyny w swoim rodzaju, że przedsiębiorstwo, mające ugruntowaną podstawę, zapewnione zyski, kapitał złożony, w mgłę się rozwieje z powodu zniknięcia członków spółki, potrzebnych do osobistego spełnienia rejentalnej formalności.

Na honor, to wyborny temat do humoreski; żałuję, że go wcześniej spożytkować nie mogłem, byłbym może zarobił na nim 100 rs. i wieniec laureata na konkursie *Tygodnika ilustrowanego*, a od czasu nagrody, jaką wziętem najniespodzianie za felieton w zagasłym „Świcie”, nabrałem szczególniejszego apetytu do laurów, zawijanych w banknoty.

Z ośmdziesięciu jeden nadesłanych *Tygodnikowi* utworów, tylko sześć (!) uznano za godne dyskusji i głosowania, a z tych następujące trzy postanowiono przedstawić sądowi czytelników: „Mówią, żeś hypocondryk”, „Pan Bermuder” i „W Piątek”. Nasi humoryści nie tego się spisali, a właściwie humor nasz nie dopisał; to dziwne. Zdawałoby się, że nam nie braknie tematu do gorzkiego śmiechu i że przynajmniej zdołamy się na ów *Galgenhumor*, do którego nie brakłoby podniety.

Zobaczmy, jak się uda poważny konkurs dramatyczny, kuszący naszych komedyopisarzy całym tysiącem rubli. Podobno do oznaczonego terminu przybyło bardzo mało utworów; mówiono mi, że i do tuzina nie doszło. Może ostatnia chwila zsympie jeszcze lawinę manuskryptów, jak było roku zeszłego, nowe talenta odsłonią się nagle ku podziwieniu sędziów konkursowych. Tymczasem twórczość oryginalna zdrzemnęła się u nas; powstaje tylko nowy zastęp pół-autorów dramatycznych coraz liczniejszy, rodzaj krawców literackich, odnawiających starzyzną, przerabiających kapoty na kaftany, nicujących zleżałe płaszcze Melpomeny po teatralnych bibliotekach. Ten i ów, nie mogąc się zdobyć na utwór oryginalny, lub na pomysł własny, tłómaczy sztukę z niemieckiego lub z francuzkiego, zmienia nazwiska na polskie, przenosi akcją do Warszawy i przypisuje sobie zasługę zlokalizowania sztuki; inny, któremu nieba odmówiły talenty Ancycza lub Galasiewicza, bierze pierwszą lepszą ludową powieść i przykrawa ją do miary scenicznej w tem dobrem o sobie mniemaniu, że kraje zręcznie, jak Worth, albo Herze, a on to tnie poprostu, jak lichy krawiec na jarmarku i bywa za robotę... ścięty potem niemilosiernie.

Ja rozumiem, że laury sceniczne mają w sobie wiele pożądanego uroku i że młodych ludzi kusi stosunek z teatrem, że ich ciągnie coś za kulisy, zwłaszcza ogródkowe, gdzie przystęp teraz tak łatwy; ale nie rozumiem panów dyrektorów i reżyserów, choćby tytularnych tylko, którzy przyjmują i wystawiają tę fuszerkę dramatyczną, szkodząc własnemu interesowi. Główna wina w tem, że, zjechawszy na letni sezon do ogródków, w dziedzinie repertoaru, chodzą poomacku, nie przygotowują sobie z góry jakiegoś planu i materiału, nie wystąpią sami z inicjatywą, jak to dawniej bywało; *in der Noth frisst der Teufel die Fliegen*, powiadają Niemcy; w biedzie dyabeł żywi się muchami. Panowie dyrektorowie prowincjonalni dzielą los z tym biednym dyablem i chwytają z potrzeby pierwszą lepszą muchę, która im się nawinie.

Nie dziwnego, że i oni, i ich truppy, i scena chudną gwałtownie na bruku warszawskim—nie z winy publiczności i krytyki, jak przypuszczają, ale z winy własnej nieogłędności.

Letni sezon dla ogródków skończy się też w tym roku bardzo smutno. Z ostatnich nowości, które mi nas potraktowano, jedynie o „Lekko-duchu” Bliżińskiego i Sarneckiego w Belle-Vue wspomnieć warto. Nie jest to komedia, stojąca na wysokości innych utworów jednego i drugiego autora, ale zawsze to sztuka, po której poznać lepsze pochodzenia i która bardzo odbija od całego repertoaru tych pseudo-oryginalnych ramot, jakimi nas umęczano w tym sezonie; zawsze to Bli-

ziński i Sarnecki, a pomimo przeróbki także z powieści, znać wprawne i doświadczone ręce, które książkowe „Złote serce” przetapiały w scenicznego „Lekko-ducha”.

Na naszej głównej scenie zawsze jeszcze opera prym trzyma; gościnne występy włoskich artystów ożywiły ją i nadały szczególniejszego interesu osłuchanemu repertoarowi. Po Aramburze, który swoją gościnę w Warszawie zakończył ma jeszcze koncertem na korzyść „Macierzyństwa”, znany z dawniejszych występów tenor de Negri śpiewa obecnie z mniejszym powodzeniem od swego poprzednika, ale daje się słuchać z przyjemnością, jako wytrawny artysta z dobrą szkołą i temperamentem południowym. Głos równy, ładny, wysoki, silny, nie może iść w porównanie z fenomenalnym organem Arambury, ale też nie potrzebuje obawiać się współzawodnictwa z miejscowymi tenorami w rodzaju *di forza*. Prawda, że ich już niema na naszej scenie po ustąpieniu p. Cieślowskiego.

Dramat i komedia oprócz „Małżeństwa Apfów” nie odznaczyły się żadnym więcej oryginalnym utworem. Na jesień projektuje się dopiero z większego repertoaru „Parya” Delavigne’a i „Uriel Acosta” Gutzkowa. Zdałoby się już czemś w lepszym i szlachetniejszym stylu zastąpić popoliłość mieszczańskich fars i komedii francuzkich, któremi reżysserya dotąd scenę zapychała.

Dla teatromanów zapowiadają na grudzień wizytę Coquelin’a z francuzką trupą; „rozparzyjemy” się znowu na dobre.

Quis.

Zjazd Towarzystwa Pedagogicznego

w Stanisławowie.

(Dokończenie).

Drugie posiedzenie odbyło się tego d. (18 Lipca) po obiedzie, przed czem jeszcze otworzono wystawę robót kobiecych, która w niczem nie ustępuje poprzednim, jak np. przeszłorocznej bardzo chwalebnej wystawie szkoły wydziałowej lwowskiej.

Dwie sprawy ważne dla nauczycieli zwłaszcza rozbiegano na tem poobiednim posiedzeniu.

Zarząd główny miał polecone na przeszłorocznem zjeździe zająć się reformą elementarza; jakoż osobna komisyja pracowała nad tą sprawą, uchwały jej reformował przed zgromadzeniem p. Opalek. Uchwały te sprowadzają się mniej więcej do następujących punktów: zmienienie części graficznej w zastosowaniu do wzorów kaligraficznych, wprowadzenie większej liczby krótkich powiastek, tudzież rycin, wierszyków i zagadek, uporządkowanie treści elementarza podług pór roku, wreszcie drukowanie go większymi czcionkami. Zgromadzenie uchwiliło, aby referat ten był drukowany w „Szkołach”, tudzież, aby nauczyciele nadsyłali swoje dopełnienia i uwagi, poczem dopiero zarząd ostatecznie referuje wniosek i wystąpi z niemi do Rady Szkolnej.

Wiadomo, że ustawa szkolna z lat ostatnich powiększyła „naukę dopełniającą” t. j. naukę tych dzieci, które wyszły już z wieku szkolnego, a które jeszcze przez lat 3 obowiązane są po parę godzin tygodniowo do szkoły uczęszczać. Oddawna już Rada Szkolna biedziła się nad wydaniem odpowiedniego podręcznika; zebrała ona w drodze urzędowej całe pliki materyałów, ale książki z tego wykroić nie umiała. Dopiero Towarzystwo Pedagogiczne, a właściwie członkowie jego zarządu, powołani do tej pracy, wydali w roku ubiegłym (1886) *Książkę do czytania* dla nauki dopełniającej w szkołach ludowych Cz. I. Są to wpisy w treści bogate i praktyczną stroną życia ludu uwzględniające, niezupełnie tylko—sądzimy—we względzie językowym do pojęcia ludu zastosowane. W każdym razie nauczyciel ma przed

sobą dwie rzeczy: odnośny paragraf ustawy i odpowiedni podręcznik; mimo to przecież snadź zachodzą jeszcze wielkie trudności w wykonaniu jednego, a zastosowaniu drugiego: wykazał je właśnie w obszernym i gruntownym wywodzie p. Pisarczuk. Dla spóźnionej pory zgromadzenie nie prowadziło dyskusji nad nowym tym, tak ważnym przedmiotem.

Trzecie i ostatnie posiedzenie zaczęło się dnia następnego rano, przy niezwykłym upale; rozprawy też nie obyły się bez żaru mówców, bez pewnych zbroceń, których w innych warunkach dałoby się może uniknąć.

Sprawa wyższego kształcenia nauczycieli, założenia „Pedagogium”, tak żywo podniesiona na przeszłorocznym lwowskim posiedzeniu, została obecnie wyświetloną. Referent dowiódł, że myśleć nawet nie można o funduszach na podobną instytucję, zwłaszcza teraz, wobec projektu burs, który ofiarności potrzebuje, wobec bardzo mało obiecującego współdziałania publiczności. Zawodowemu wyrabianiu się nauczyciela pomóżd mają inne czynniki: specjalne kursa, muzea pedagogiczne, tudzież częste konferencje w oddziałach i kółkach Towarzystwa. Zgromadzenie nietylko przyjęło wnioski powyższe, ale jeszcze zobowiązało Zarząd, aby na drodze właściwej postarał się o zaprowadzenie odpowiednich kursów dla nauczycieli ludowych, a to w myśl rozporządzenia ministerjum z d. 31 Lipca 1886 r.; — aby czemprędzej urządził muzeum pedagogiczne we Lwowie, a następnie także muzeum w Krakowie — i wreszcie, aby użył wszelkich środków celem zawiązania nowych oddziałów i kółek Towarzystwa, zwłaszcza w miejscowościach oddalonych od ognisk życia umysłowego.

Nastąpiła sprawa publicznych examínów rocznych, szeroko omawiana na przeszłorocznym zjeździe, na którym oświadczone się za ich zniesieniem. Tymczasem komisja wyznaczona z łona zarządu do rozpatrzenia tej sprawy do innych nieco doszła wniosków: referent p. Piórkiewicz przemawiał za utrzymaniem examínów w szkołach wiejskich i małomiejских. Wywiązała się długa dyskusja, w końcu przyjęto wniosek Badańczyka:

„Zarząd główny uprosi Wysoką Radę Szkolną, aby rok szkolny kończono w całym kraju tak, jak rozporządzenie krakowskiej Rady Szkolnej z d. 28 Maja 1887 r. poleca t. j., że rok szkolny kończyć się ma uroczystym odczytaniem listy uczniów promowanych, rozdaniem nagród, oraz świadectw szkolnych; a wszystko to będzie poprzedzone krótkim popisem młodzieży w tych przedmiotach naukowych, które rodziców obecnych, najbardziej zainteresować mogą, a więc w nauce religii, śpiewie, deklamacyi, według programu, ułożonego przez przewodniczącego miejscowej Rady Szkolnej wspólnie z proboszczem miejscowym i zarządem szkoły.”

Porównyując tę uchwałę z uchwałą powziętą na ostatnim zjeździe Towarzystwa Nauczycieli Szkół Wyższych, widzimy, że wracają pedagogowie na całej linii do wskrzeszenia tradycyi popisów szkolnych.

Następnie p. Benoni zdawał sprawę z administracyi Wydawnictw Towarzystwa, które to wydawnictwa coraz szersze przybierają rozmiary, a jak ostatecznie weszły do nich i książki z polecenia Rady Szkolnej wydawane, przyniosły one dotąd przeszło 23,000 zlr. majątku Towarzystwu. Sprawozdanie było nader wyczerpujące, albowiem p. Benoni czuł się osobiście dotknięty w jakimś celu osobistym rozwiniętą krytyką członka zarządu niejakiego p. Opałka, wszcubowanego do tegoż zarządu przy wyborach na przeszłorocznym zjeździe we Lwowie. W zakończeniu p. Benoni z naciskiem prosił o jawne zarzuty, aby mógł udzielić wyjaśnień, których każdy członek Towarzystwa ma prawo żądać.

Posypały się najrozmaitsze interpelacje, zarzu-

ty, w których przyjął udział i p. Opałek, powstał chaos prawdziwy, mimo to p. Benoni bardzo systematycznie odpowiedział na wszystko, p. Opałek zaś znalazł się zmuszonym do złożenia godności członka zarządu. Drażliwa ta, a przydfuga już dyskusja skończyła się nareszcie zupełnym tryumfem p. Benoniego, któremu zgromadzenie przez powstanie podziękowało.

Nadmienić tu musimy, że wydawnictwa Towarzystwa Pedagogicznego doszły już do pokaźnej liczby, a każdy prawie dział literatury pedagogicznej został uwzględniony. Mamy więc tu „Bibliotekę dla młodzieży”, która już 21 ładnych tomików z zakresu literatury rozrywkowej liczy; w ostatnim roku wydano: „W szarej godzinie”, powiastki Jul. Starkla, tudzież „Dwie Baśnie” Zahajkiewicza. Dalej mamy Bibliotekę dla uczniów szkół przemysłowych, złożoną z pięciu podręczników; książka polska, książka niemiecka, nauka rachunków dla przemysłowców, niektóre ważniejsze wiadomości z fizyki i nauka prowadzenia ksiąg i korespondencyi przemysłowej. Następnie w liczbie 200 wydawnictw Towarzystwa Pedagogicznego, z których niektóre doczekały się już trzeciego wydania, znajdują się podręczniki pierwszorzędnej wartości z zakresu geografii, fizyki, nauk przyrodzonych, sadownictwa i t. d. W ostatnim roku Towarzystwo między innymi wydało kilka grubych ksiąg do czytania, są to wypisy, ułożone przez Fr. Próchnickiego i R. Starkla dla szkół wydziałowych na klasę V, VII i VIII.

Załatwiono potem rozmaite sprawy wewnętrzne Towarzystwa, jak lustracje rachunków, it. p. Uchwalono też wysłanie adresu do Papieża w dzień pięćdziesięcioletniego jubileuszu jego kapłaństwa.

Ciekawe bywają wnioski samoistne, napływające w znacznej liczbie w czasie zjazdu do komisji, ad hoc wyznaczonej. Wnioski te najczęściej przekazują się zarządowi do załatwienia, a niektóre zaledwie przydać się na co mogą. Często projektują się tu rzeczy dawno już przebrzmiałe, a częściej jeszcze zbyt abstrakcyjnej natury, aby się w formę rzeczywistości przyoblec mogły. Z wniosków takich nieraz już wyprowadzaliśmy swoje wnioski o stanie intelektualno-moralnym i o rzeczywistych potrzebach nauczyciela ludowego w Galicyi.

Było też wiele wniosków na zjeździe ostatnim, który opisujemy, nie odznaczały się one przecież niczem szczególnem; były w większej liczbie administracyjnej natury, w mniejszej zaś ogólniejszego charakteru, ale i te po większej części dotyczyły spraw już załatwionych lub też w toku będących. Żądano np. powieści fejtetonowych, czytanek dla szkół, szerzenia oświaty za pomocą wydawnictw (prawda, że nowa myśl! — nie słyshał widocznie wnioskodawca o „Wydawnictwie ludowym”, o „Macierzy”). Żądano podręczników metodycznych, dokładniejszego drukowania sprawozdań zarządu, innego redagowania „Szkoły” i t. p.

Wybory wypadły w myśl propozycyi zarządu, kandydaci podani przez opozycję na przygotowanych listach przepadli. Na prezesa i wiceprezesa wybrani zostali przez akklamacyą ponownie: p. p. Sawczyński i Gerstman. Na członków zarządu (oprócz pozostałych z przeszłorocznego głosowania) powołani na czas dwuletni: Baranowski Mieczysław, Kowalówka (ponownie) Krasucki, Lewicki, Szcz. Parasiewicz (przegłosowany na zeszłorocznym zjeździe), Służewski (również przegłosowany we Lwowie) i Zajackowski Wł. (ponownie). Zsumował wreszcie obrady, scharakteryzował zjazd, dał parę nauk moralnych zebranym prezes Sawczyński. — „W każdym razie, kończył, wszyscy sumiennie pracować będziemy, tylko nie dzielimy się na kółka i kółeczka, bośmy wszyscy członkami jednego towarzystwa. Podniesienie oświaty ludu: oto nasze hasło, którem kończę zjazd tegoroczny.”

Po południu odbyła się uczta pożegnalna, przy której komitet miejscowy odznaczył się najdzwyczajną gościnnością, a zebrani szczególnieży-

wieniem; poczem uczestnicy zjazdu poczęli się rozjeżdżać: mała ich tylko część pozostała do dnia drugiego, aby uczestniczyć w pogrzebie Agatona Gillera, głośnego dziennikarza, publicysty, podróżopisarza, historyka.

O „Jednodniówce” wydanej w Stanisławowie na pamiątkę zjazdu, na którą złożyli się powołani i niepowołani nie wyjmując nawet „c. k. inspekt. okręg. w podróży” (!), wspominaliście już w N. 33 „Bluszczu” na str. 247, dochód z tej wiązanki ulotnych artykułków, odznaczających się więcej poezją i dobrą chęcią, niż wartością rzeczową i literacką, przeznaczono na rzecz kolonii wakacyjnej.

Następny zjazd w roku przyszłym w Rzeszowie.

FILISTRY

Powieść oryginalnie napisana

przez

M. Gawalewicza.

(Dalszy ciąg).

V. Serce i liczba.

Była-to najpiękniejsza niedziela w całym sezonie wyścigowym; *tout Varsovie*, jak się na wzór Paryża mówić zwykło — widziano dnia tego na polach mokotowskich.

Powozy, dorożki, omnibusy, wszelkiego rodzaju wehikuly pędziły przez Nowy Świat ku Alejom; chłopcy z programami ściągali każdy powóz, bezcki strażackie kropiły ulicę, aby w tumanach kurzu nie musiała się krztusić „cała Warszawa”, śpiesząca na kursa, dysząca tyle od upału, co i ciekawości zobaczenia słynnego „Tylora”, który miał biegać dziś po raz pierwszy na obcym dla siebie torze po tylu tryumfach, odniesionych zagranicą.

Skarogniady „Tylor” był bohaterem dnia; zajmowano się nim w dziennikach, w resursach, w towarzystwach, mówiono o nim w salonach i na ulicy, jakgdyby czworonożna znakomitość była jakimś zjawiskiem nadzwyczajnym; opowiadano sobie szczegóły i daty z jego biografii, którą pomieścił wraz z portretem jeden z tygodników, poświęconych sportowi i sztukom pięknym, wyliczano na palcach, gdzie, kiedy i z kim rywalizował w Austrii, Francji i Anglii, ile dochođu przyniósł swojemu szczęśliwemu właścicielowi i zachwycano się koniem wyścigowym taksamo prawie, jak znakomitym śpiewakiem, artystą, autorem; każdy sezon bowiem w Warszawie musi mieć swoją osobną gwiazdę, a gwiazda swoich fetyzów.

Tylor był gwiazdą wyścigowego sezonu, który jak wiadomo kończy letni karnawał w syrenim grodzie.

Pomiędzy sportsmanami panowało niezwykle zainteresowanie; w klubie wrzało, jak w ulu; nie mówiono już więcej o pojedynku br. Z z porucznikiem W., ani o wielkiej przegranej hrabiego Fredzia, ani o nowym balecie, w którym powiewne Munie i Fiutki pierwsze laury zbierały, ku wielkiej ucieście i dumie swoich protektorów, tylko rozprawiano o niezrównanym, niedościgłym Tylorze.

Mała garstka niedowiarków, liczących na nadzwyczajne wypadki, oryginałów i fatalistów, ryzykowała zakłady przeciw, nie wierząc z góry w wygraną.

— Cóż? widziałeś już Tylora? — pytano się wzajemnie, jakby chodziło o ósmy cud świata. Jeden z towarzyskich dowiepnisiów, doprowadzając złośliwie ów gorączkowy zachwyty dla wyścigowca do przesady, opowiadał powszechnie z miną zupełnie poważną:

— Byliśmy z nim wczoraj na obiedzie u Fredzia, wydanym na jego cześć; bardzo się dobrze

wyrażał o Warszawie i zapewniał, że biegać będzie z całą przyjemnością, jakkolwiek mu to, *vous savez*, wielkiego zaszczytu po Epsom, Chantilly i Longchamps nie przynosi. No, ale robi to dla swoich bliższych znajomych i chodzi mu o dobre *entrée* do Moskwy.

Trybuny były też przepelnione, w lożach cały bukiet piękności i elegancyi, w długim szeregu powozów półtora świata zebrało się, aby podziwiać konie podczas biegu, a być podziwianym w przestankach.

Panie o świetnych toaletach od miejscowego Wortha, panowie w znacznej części parasolami jasnymi od słońca, każdy z lornetą przewieszoną przez ramię, z różą w butonierze, z programem w ręku, snuli się pojedynczo i grupkami po torze lub oblegali okienko totalizatora; dżokeje w kolorowych kurtkach, sztylpowych butach, z siodłem na ramieniu, z miną dużych małp ucziłowiczonych na kilka godzin, kręcili się około wagi, odbierając napomnienia, dyspozycje i uwagi swych panów bez widocznej ochoty do rozmowy. Ciężka na nich atmosfera „Tylora;“ bali się.

Słońce przypiekało z góry, na jasnym niebie bez jednej chmurki, jakgdyby samo chciało uświetnić tak niezwykle uroczysty dzień na torze i w rocznikach *sportu*.

Między powozami odbywała się nieustanna defilada; przyglądano się damom i zaprzęgom, przedstawano na krótką urywaną rozmowę, przynoszono wiadomości, odbierano polecenia, flirtowano, dowcipkowano, obmawiano się, zabijano czas na wszelkie sposoby pomiędzy jednym biegiem a drugim.

Całe towarzystwo z salonu państwa Fiszbaumów znajdowało się tu w komplecie. Kostyum baronowej i nowiutkie tilbury jej męża zwracały ogólną uwagę.

Papa Fiszbaum, w wysokim cylindrze, który mu zachodził aż za uszy, w angielskim tużurku, z macintoshem na ramieniu, a ogromnych rozmiarów lornetą w ręku, przechadzał się kolejno z jednym i drugim zięciem, trzymając się umyślnie jaknajbliżej trybuny sędziowskiej, przy której ogniskował się głównie cały *high life* miejscowy; starał się widocznie witać ze wszystkimi, których podanie ręki albo ukłon warte były co najmniej konia wyścigowego.

Pani Rozalia z najmłodszą córką siedziały w powozie obok przepysznego landa, w którym zajmowały miejsce baronowa z Jerzbicką i... panem Sylweryuszem.

Ojciec Romualda od pewnego czasu porzucił bowiem swój samotniczy tryb życia i zaczął powoli wracać do świata, odmłodzony, odświeżony, usmiechnięty teraz ciągle jakimś odblaskiem nowej zorzy, która mu zwiastowała upragniony dzień wyswobodzenia. Zmieniony był do niepoznania, wyelegantowany, rozmowny i ożywiony, jakby mu ze ćwierć miliona długów i ze dwadzieścia pięć lat wieku z karku spadło.

Wydawał się starszym bratem Romualda.

Kilka miesięcy zaledwie upłynęło od wypadków, któreśmy w ostatnim rozdziale skreślili, a jednak stosunki zmieniły się nadspodziewanie, odkąd stary Lacki czynny przyjął w nich udział. Znał on dobrze napoleońską zasadę: *il faut être et paraître* i stosował ją teraz w życiu, wiedząc, że od drugiej jej połowy zależy najczęściej pierwsza.

Przyjazd hr. Andrzeja i pogodzenie się z nim szwagra i siostrzeńca (Fiszbaum jednak tej sztuki dokazał u siebie), stanowiły moment bardzo ważnego zwrotu w sprawach i interessach obu Lackich.

Hr. Potorski był naturą zimną, wyrachowaną, typ zupełnie nowy: arystokrata w połączeniu z aferzystą, wielkiego pana z dorobkiewiczem, ryzykownego milionera z Harpagonem, o którym opowiadało całe legendy, przedstawiające w jaskrawym świetle jego przechwalony zmysł praktyczny i oszczędność, doprowadzaną do skąpstwa.

Mówiono np. że lat kilka nosił jeden i tensam kapelusz, żalując sobie wydatku na nowy; wreszcie zmuszony był darować go swemu służącemu. Po jakimś czasie zauważył, iż jego Józef ma na głowie jakiś melonik świeżego fasonu, który

lepiej wygląda od nowego kapelusza samego chlebobdawcy.

Woła tedy lokaja i pyta:

— Józefie, co ty zrobił z kapeluszem, który ci darowałem?

— Noszę go, proszę jaśnie pana hrabiego.

— Kiedy?

— Codziennie, tylko go dałem sobie ufarbować i przerobić.

— Pokaż-no mi ten kapelusz.

Pan hrabia zaczął się mu przyglądać z uwagą.

— Ile dałeś za przeróbkę? — spytał po chwili.

— Ośm złotych — brzmiała odpowiedź lokaja, który ani się domyślał, do czego zdąża ta indagacja. Pan hrabia wyjął swój skromny woreczek, odliczył ośm złotych i rzekłszy:

— Masz tu swoje pieniądze — kapelusz założył na głowę, aby jeszcze rok cały chodzić w nim dla oszczędności.

Mogło to być złośliwą anegdotką, lecz charakteryzowało bardzo trafnie postępowanie magnata, który z jednego krańca arystokratycznej tradycyi przerzucił się w drugi kraniec postępowej praktyczności i postanowił sobie „robić miliony.“

Z Lackimi poszło mu o pewne spadkowe różnice po śmierci pani Salomei i o summe dość znaczną, którą miał na dobrach pana Sylweryusza. Wymagał lepszego jej zabezpieczenia, nie ukrywając wcale, iż gospodarka lekkomyślnego szwagra nie daje mu dostatecznej rękojmi dla jego kapitału.

Wdowcem był bezdzietnym; według wszelkiego rzeczy porządku, kiedyś majątek jego, przechodząc na najbliższą rodzinę, w pewnej części dostać się musiał i tak Romualdowi, jako bliższemu krewnemu. Hr. Andrzej jednak nie chciał uwzględniać takich ewentualności, zapewniając bardzo często, że przed zgonem rozporządzi swem mieniem całkiem inaczej, niż się jego spadkobiercy spodziewać mogą.

— Niech każdy dba przedewszystkiem o siebie — mówił — z dobrobytu jednostek, tworzy się dobrobyt ogółu. Oszczędzaj, jakgdybys miał żyć wiecznie, a wydawaj tyle, jakbys do jutra nie miał czem wystarczyć.

Przy swoich rozległych majątkowych interessach, które mu zapewniały ogromne dochody, wydawał też na siebie mniej, niż nie jeden z ostatnich jego officialistów. Umysł bardzo ruchliwy i praktyczny, orientujący się szybko, przy że laznej wytrwałości i energii, stanowił wyższość hr. Andrzeja nad wieloma finansistami z dziada pradziada. Przeciwnik wszelkich utopii i idealnych mrzonek, rządził się zimnym i trzeźwym rozumem, wykluczając zupełnie serce z administracji swojego życia i majątku; pod tym względem różnił się wielce z Romualdem, któremu zarzucał, że za wiele mleka i słodczy niewieściej wysłał z piersi matki.

— Ten hulaka ojciec twój, pan Lacki *senior* — mówił nieraz z rubaszną otwartością, która go cechowała — powyrzywałby sobie paznogie, gdyby były złote i gdyby je mógł przepuścić, ale nie poświęciłby jednego włosa bezinteressownie dla nikogo. Ty zaś, Lacki *junior*, dałbys sobie głowę ogolić, jak waryat, gdyby ci tylko jedyna czupryna została do poświęcenia dla kogokolwiek. Marzyciel jesteś wieczorami, chociaż rano budzisz się trzeźwym racjonalistą i rano jesteś podobnym do ojca, a wieczorem do matki.

Pan Sylweryusz nie lubił szwagra, nazywał go kutwą i kramarzem, ale bał się jego języka, bo cięty weredyk w słowach nie przebierał i nieproszony umiał każdemu wyciąć taki *pater noster*, że go do końca życia musiał popamiętać. Kiedy mu ojciec Romualda dał do poznania zlekka, że Fiszbaumowie nie byłiby od tego, by najmłodszą córkę wydać za mąż za jego syna, Potorski zmrużył oko i rzekł:

— To tędy droga?... czemuż ty mi odrazu nie mówisz, że spekulujesz na posag?... Pannie się nie przyjrzałem, ale widziałem dobrze książki starego Fiszbauma; to solidna firma, można jej zaufać nawet jedynemu syna, choć się jest takim utracyszkiem, jakim ty byłeś.

— Ależ, mój Andrzeju! — reflektował stary Lacki z kwaśnym uśmiechem, nie chcąc zrażać sobie powtórnie szwagra.

— No, no, nie krzyw się, jak po cierpkim winie, już ja cię znam nie od wczoraj. Co do Romka, wszystko mi jedno, niech się żeni, z kim chce, byle biedy nie klepał i nie żałował później tego; bankierówna, nie bankierówna — w dzisiejszych czasach już się na to nie zważa. Pięćdziesiąt lat temu, byłbym go może wyklął za taką kolligacją, bo dla mojego ojca byłby to jeszcze mezalians, dla mnie jest interessem w waszych warunkach, jak każda zyskowna spółka, w której z jednej strony dają milion, a z drugiej figę. Tylko wiesz co? mnie się nie zdaje, aby ten Fiszbaum był taki głupi.

— Jakto rozumiesz?...

— Wątpię, aby za wstęp do waszej rodziny — (na to „waszej“ położył hrabia lekki nacisk) — zechciał płacić aż tak drogo. W interessach, to bestya kuta na cztery nogi; targuje się ze mną, jak handeles przy każdym punkcie naszej umowy, jakkolwiek wie, że ma do czynienia z wujaszkiem swego przyszłego zięcia, ale zje dyabła, zanim mnie w pole wyprowadzi!

Przerywając nagle rozmowę, zwrócił się do pana Sylweryusza żywo, jakby sobie przypomniał kwestyą ważniejszą od wszystkiego:

— Ale słuchaj-no, mam nadzieję, że kiedy ci się uda z Fiszbaumówny zrobić panią Lacką, pierwszemi pieniędzmi z posagu synowej spłacisz mi nareszcie summe, którą mam na Zalesiu. Przecież nie pozwolisz, żebym wam zaraz po ślubie przysyłał komornika — dodał na pół żartobliwie, na pół poważnie.

Siedząc teraz na trybunie, pomiędzy sędziami wyścigowymi, miał przy sobie Romualda i rozmawiał z nim o swoich koniach, które przyprowadzał co roku na tor, nie dla sportu i emocyi osobistej, ale po prostu dla interessu, odkąd pomiędzy licznymi swemi przedsięwzięciami rozpoczął także i racjonalną hodowlę stadniny.

— Wyobraź sobie — mówił do siostrzeńca — że ja tego Tylora mogłem kupić za psie pieniądze, ale mi wtedy odradzali, i kupiłem tę karą Fly, po lordzie Greamstone, która wzięła zeszłej niedzieli pierwszą nagrodę w handicapie. Nie miałem nosa wówczas. No, cóż robić, nie można zawsze trafiać w czarne.

Romuald słuchał na pozór z zajęciem, ale go widocznie mało obchodziła historia Tylora; w ostatnich czasach spoważniał jeszcze bardziej i stał się małomównym.

Hr. Andrzej poznał to z fizioznomii siostrzeńca.

— Ty nie lubisz wyścigów, prawda?... to tak, jak ja. Gdybym nie musiał, nie siedziałbym tu na słońcu — mówił, obcierając sobie czoło spocem — ale trzeba pilnować swego. Pańskie oko konia tuczy. Żeby nas tylko deszcz nie splukał przed końcem — dodał, krzywiąc się niemiłosiernie — cały dzień piekły mnie dzisiaj nagniotki, a to mój najlepszy barometr; nigdy nie zawodzi.

Dalszą rozmowę przerwał wysoki, chudy mężczyzna, ze śpiczastymi wąsikami, i bakami rzadkiemi, w dżokejce, z szpicrutą w ręce, w butach sztylpowych przy ostrogach i w długim angielskim hawloku, zpod którego widać było czerwoną jedwabną koszulkę i białe pantalony obcisłe.

— Zobaczysz hrabia — odezwał się z poufalością experta na torze wyścigowym — że ten Tylor ma więcej szczęścia, niż prawdziwego ognia. Przerzekali go, jak jaką primadonnę. Widziałem go przed chwilą; on ma minę nieszczerą. Aha!... pierwszy dzwonek.

— Pan jeźdździ dziś?

— W przedostatnim biegu, a jakże!... prosił mnie Tomuś, żeby mu zrehabilitować jego Sobieską w *steeple-chase* po ostatniem zasypaniu. Klacz twarda w pysku, jak sto dyabłów, *mais je veut faire tout mon possible*...

Romuald, korzystając z chwili wolnej, przeszedł ku powozom; przy wadze spotkał młodego Zajęckiego w angielskim garniturze, w koszuli z emblematami sportu na kołnierzu i mankietach, ze szpilką o ogromnym łbie końskim w krawacie, w rakowych rękawiczkach wyszywanych su-to czarnym jedwabiem; niebieski fular wyglądał mu z kieszeni zakietu na piersiach. Haseman *junior* udawał sportsmana z tytułu owego konia,

którego ongi zmienił na list zastawny; wysoko podnosząc łokieć z dystyngowaną manierą kupczyka na niedzielnym spacerze, ukłonił się Romualdowi i, stanawszy przy rudym jegomościu z nieomylną miną spanoszonego episyera, zaczął z nim rozmawiać:

— Pan za kim?

— Ja zawsze za Dobrogostem; przegram raz, to potem trzy razy z rzędu się odbiję.

— A ja za Fly Potorskiego.

— Dobry koń.

— Prawda?... on ma w tym roku szczęście.

— A niech pana muchy zjedzą—wtrącił zgryźliwie jakiś mężczyzna o gorączkowych ruchach i twarzy wielce zaferowanej—zgrałem się ostatni raz na trzydzieści rubli przez tego Potorskiego. Trzeba mieć szczęście; dzisiaj już drugą dziesiątkę mieniam. Trzymasz pan do spółki za Sobieską?

I nie czekając odpowiedzi, pośpieszył za młodym człowiekiem w cylindrze, bez zarostu na okrągłej, nalanej twarzy, wołając:

— Panie hrabio, panie hrabio!... mam do pana ważny interes od godziny.

Rudy jegomość uśmiechnął się do Zajęckiego i szepnął:

— Pan mu wierzysz, że on przegrywa?... przegra rubla, to mu się zdaje, że dziesięć, a ile razy wygra dwadzieścia pięć, to powiada, że wyszedł na czysto.

Obok stała grupa młodych ludzi, przypatrując się damom w powozach.

— O kogo mówicie?—spytał jeden z nich z krótko strzyżoną brodą—pewnie o Wichrzyńskim? a co?... poznałem odrazu.

— Mówił mi, że wynalazł nową kombinację na totalizatora—wtrącił drugi—przy której teraz nigdy nie przegra. Nieznośna pila. Ma do mnie urazę, że go nie chciałem przypuścić do spółki, trzymając zeszłej niedzieli za Fly Potorskiego.

— Ale, ale—przerwał znów pierwszy—uważaliście, jak ten Lacki trzyma się teraz samych hrabiów?... Z Potorskim chodzi pod ramię za pan brat.

— Przecież to wuj jego—zauważył Zajęcki.

— Co pan gadasz!... zkadźeby znów przyszedł do takiego wuja?

— Brat jego matki.

— A ja słyszałem, że mu pożyczka na spłacenie długów i bierze w administrację cały majątek, zaszargany podobno okropnie, ale ma widoki zrobienia brylantowego interesu, bo znalazł tam pokłady fosforytu, czy marglu, czy czegoś takiego.

— Dajże pokój—wtrącił inny—słyszałeś, że dzwonią, tylko nie wiesz, w którym kościele. To Fiszbaum z Potorskim wchodzi do spółki eksploatacji kopalni żelaza w Krymie, a Lackiego robią generalnym dyrektorem.

— Wszyscy razem nic nie wiecie—przerwał rudy jegomość—ja słyszałem, że Lacki żeni się z najmłodszą Fiszbaumówną, a Potorski kupuje od niego dobra za dożywocie.

Zajęcki skrzywił się i przestępując z nogi na nogę, swoim fistułowym głosikiem zapiszczał:

— Jeszcze daleko do tego; ja przecież wiedziałbym coś o tem, moi panowie!...

— A dlaczego pan?

— Dlaczego ja?... bo... bo...

Zaciął się, spostrzegłszy, że mu trudno będzie wytlómaczyć się z tego. Na szczęście odgłos oklasków i szmer podziwu, jakim witano wstępującego na tor Tylora, wybawił pana Władysława z kłopotu.

Skarogniady ogier powolnym, spokojnym krokiem wchodził w szranki, z łbem nieco opuszczonym, jakgdyby dziękował za uczynioną sobie owacę; wyglądał, jak artysta przy wejściu na estradę, poprzedzony szerokim rozgłosem, który go niby żenuje. Chudy, suchy, cienki, jak komar, Gaugh, w żółtej kurtce z czarnymi pasami i w takiej samej czapce, siedział na koniu uśmiechnięty właściwym dżokejom uśmiechem, który odsłaniał szeroko jego rzadkie, śpiczaste zęby. Dwa miał wybite z lewej strony; była to pamiętka po pierwszym i ostatnim koziołku, jaki kilka lat temu słynny Gaugh zrobił na torze pa-

ryzkim podczas wielkiego Derby, kiedy-to jechał na Feramorze, niezapomnianym Feramorze, ognistym, jak wulkan, a dającym się kierować, jak dziecko. Tylko tak nadzwyczajny wypadek, jak pęknięcie gurty, mogło perłę dżokejów wysadzić z siodła.

Podobno sam ks. Walij, obecny na wyścigach, nachylił się nad nim i miał go zapytać:

— *How do you do, Gaugh?...*

Wszystkie spojrzenia biegły teraz w stronę Tylora, który wszedł na tor pierwszy z czterech współzawodników, zrobił się ruch pomiędzy publicznością; panie stawały w powozach, panowie kupili się przed bandą, przypatrywano się ciekawie zwycięzcy na tyłu torach zagranicznych, który pobijał szybkością swoich nóg największe sławy wyścigowe i setki tysięcy franków przynosił swemu właścicielowi.

Ludwika, niby przez zapomnienie opierając się na ramieniu Romualda, który stał na stopniu ich powozu, patrzyła przez lornetkę na konie prowadzone do startu, i z żywym zajęciem zwierzała się ze swoich wrażeń.

— Być podziwianym przez tylu ludzi, to musi być piękna chwila zarówno dla konia, jak i dla człowieka—mówiła do Romualda.—Czy też on to czuje, że jest tu bohaterem chwili i najważniejszą figurą pomiędzy nami?—pytała dalej z uśmiechem.

Romuald milczał, przypadkowo rzucił okiem na złote porte-bonheur Ludwiki w kształcie łańcuszka, na którym wisiała gwiazda z pereł i brylancików i przypomniał sobie kogoś, który podobną nosił bransoletkę. Tę dawną nawet na wzór jej robić u jubilera; przypomniał sobie rękę, która ją nosiła i zapach Lis de Cachemir tej białej, jak lilia rączki, i uścisk jej serdeczny, pieściwy, a pamiętny tak długo;—i myśli jego pogoniły daleko z wyścigowego toru na szeroki step ukraiński, gdzie pani Zośka z Dziunią w tej chwili może mówiły o niedobrym przyjacielu, który tak dawno nie pisał, a tyle pewnie miał do napisania...

Jerzbiński, w drugim powozie stojący na kozle obok stangreta, na cały głos robił swoje uwagi:

— Coś mi ten Tylor wygląda na zmęczonego; łeb schyla, jakby się wstydził, jeszcze się gotów poszkapić. Magdzia, twoje pięć rubli w strachu, prawda?... Żebyś ty wiedziała, jak mi się pieć chce!...

Baronowa udawała, że patrzy razem z wszystkimi w jedną stronę, ale raz po raz zerkała w stronę przystojnego blondyna w popielatym cylindrze który rozmawiał z dwiema damami tuż obok po francuzku; była to jej najświeższa znajomość z rautu u prezesowstwa. Przedstawiono go jej, jako margrabiego de Berry, vicekonsula francuzkiego; rozmawiała z nim cały wieczór o Paryżu i nasłuchiwała się od niego komplementów bez liku, z których jeden szczególnie utkwił jej w pamięci:

— *Vous avez des yeux diaboliques, mais un regard céleste.*

Nadzwyczajnie jej się to podobało.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Korrespondencja zagraniczna.

Lwów w Sierpniu 1887 r.

Kolonie wakacyjne.—Walne zgromadzenia towarzyszy-tw „Skala” i „Rodzina” Nowości literackie. *Listy Zygmunta Krasińskiego*, tom trzeci.—Porównanie między Mickiewiczem i Słowackim.—Charakterystyka Shakespeare’a.—*Ze starych wspomnień* Aleksandra Wybranowskiego.—*Konfederacja Spytka z Mielsztyna*, przez Antoniego Prohaskę.—*Roczniki Samborskie*.

(Dokończenie).

A poniżej w tym samym liście, chcąc bliżej jeszcze wyłuszczyć swe poglądy, dodaje:

„Szekspira stanowisko było jeszcze, że tak powiem, dzikie i dziecinne. Stał w pośród rozmaitości świata, obserwował fenomena, w głąb przy-

czyn nie ząchodził, podobny w tem do szkoły filozofii Lokka lub Kondyllaka. Sens jego ogólny moralny taki: „Ty płaczesz—tobie serce pęka—Ty krzyczysz: jam nieszczęśliwy! Spójrz, proszę cie, alboż to ty jeden? Patrz-no: I tam lzy płyną i ów. lzie; serca pękają wszędzie i zawsze. Taki życia tryb od kolebki urodzenia do trumny zapomnienia; wszyscy się żyzymają i płaczą i cierpią. Pomyśl-no, czy to nie wielką buffonadą tak rodzic się nie wiedzieć zkad, tak żyć nie wiedzieć czemu, i tak odchodzić nie wiedzieć gdzie? Jaby ci radził wszystkim to za żart przykry uważać, a kiedy żartują z ciebie,—nie wiem kto, czy los, czy Bóg, czy dyabeł—ej! wierz mi, i ty zażartuj z nich, drwiną płac dzwiny; bądź aktorem komicznym, ty dotąd tragiczny aktorze na teatrze świata.” Na tem kończy się Szekspir, bo tylko obserwował fakta, doświadczenia robił z charakterami ludzi, jak fizyk lub chemik z ciałami. Wie, że się męczą ludzie, że serca pękają, krew i lzy i pot ciecze, ale nie wie po co, o co, na co; nie domyśla się, aby ta cała męka ku czemuś wyższemu garnąć się miała...”

W liście do Romana Załuskiego rozbiiera cenniejsze dzieła Słowackiego i porównywa znowu stanowisko jego, jako poety, ze stanowiskiem Mickiewicza: „Postacie Mickiewicza, powiada, są rżnięte w epoce z granitu; olbrzymie są, architektoniczne, wzniosłe; (*sublimes, grandioses*) Juliusza zaś wdzięku niesłychanego pełne, uderzające wonią, błyskające jak tęcze, wieczną tęsknotę pozostawiające w duszy, ale przy tej tęsknocie pewność, że były, przesunęły się i gdzieś odleciały i nigdy nie wrócą; on im przypiął skrzydła, posłał je za gwiazdy stałe, za konstellacyą Oriona, poza drogi mlecznych pyłów... gdzież one teraz?... kiedy tymczasem p. Adam owszem z nieba każe zstępować swoim i tak je dłużej przybije do ziemi, że z nią się zrosną i na niej posagowo zostaną na zawsze. I on i Juliusz są dwoma mistrzami; ale dwóch sfer różnych.”

Listy do Edwarda Jaroszyńskiego, pisane w przeciągu czasu od 1839 do 1844, zapełnione są głównie rozbiorem kwestyi filozoficznych. Był to czas właśnie, gdy spekulacja metafizyczna heglowska zawracała wszystkim głowy i cały świat inteligencyi myślał, że tą drogą dojdzie do poznania istoty prawd odwiecznych, zasadniczych. Myślący, fantastyczny, nawskroś poezyą mistycyzmu przejęty umysł Krasińskiego lubuje się w tych rojeniach i wielką do nich przywiązuje wagę, jako rozwiązujących zagadki porządku świata i zadań ludzkości. Znajdujemy tu bardzo dobrze wyłuszczoną treść *Prolegomenów do historyzofii* Cieszkowskiego. Listy do Kajetana Koźmiana i jego syna Andrzeja poświęcone są głównie uwagom krytycznym nad poematem: *Stefan Czarniecki*, nad którym pracował właśnie sędziwy klasyk, a wysoko ceniąc zdanie Zygmunta Krasińskiego w rzeczach poezyi, posyłał mu ustępy swego poematu do ocenienia, zamierzając też cały jeszcze dedykować. Korrespondencja ze Stanisławem Koźmianem obejmuje rozbiór rozmaitych kwestyi religijnych i dogmatycznych, przedstawiając dokładnie poglądy w tym względzie Krasińskiego, któremu zarzucano kierunek panteistyczny. W listach niniejszych znać wszędzie ducha głęboko religijnego, szczytne pojęcie prawd chrześcijańskich i zadań ludzkości.

Największą część książki, bo prawie połowę, zajmują listy do Bronisława Trentowskiego. Widzieliśmy już powyżej, że kwestye filozoficzne mocno zaprzętały Krasińskiego; i że je uważał za podstawę, za grunt wszelkiego zdrowego kierunku umysłowego. Ztąd bliższe stosunki i przyjaźń serdeczna pomiędzy nim a Trentowskim, który wraz z Libeltem był w owej porze głównym reprezentantem i pracownikiem na polu filozofii polskiej. Krasiński pokładał w tym względzie wielkie w Trentowskim nadzieje, wysoko ceniąc potęgę jego pióra, jego swadę filozoficzną, rzutkość myśli i prac kierunek. Krasiński był jaknajgłębiej przekonany, że Trentowski powołany jest do stworzenia osobnej szkoły filozofii polskiej i opracowania wszystkich jej gałęzi, byle miał czas potemu i nie potrzebował go marnować na zajęcia chlebowe. Skutkiem tego przekonania zapewnił mu na dłuższy szereg lat z własnych

funduszu subwencyą, ułatwiając tym sposobem możność pracy potężnemu myślicielowi, który miał stać się twórcą nowej, szkoły filozoficznej, wrzekomo oryginalnej polskiej, chociaż z cudzoziemskiego żywca przeszczepionej gruntu. Tym sposobem wszystkie główne dzieła Trentowskiego, o czem mało komu wiadomo, jego *Chowanna*, *Myslimi*, *Przedburze*, i t. d., zrodziły się przy pomocy subwencyi, ofiarowanej na ten cel przez Krasińskiego, dość znacznej, aby zapewnić autorowi swobodę myśli i pracy.

Po listach Krasińskiego nasuwa mi się pod rękę książka wcale innego rodzaju, tak treścią, jak stylem. Tytuł: „*Silva rerum, Ze starych wspomnień Alexandra Wybranowskiego*.” Jeżeli korespondencya poety podnosiła nas w eteryczne sfery myśli, poglądów częstokroć nieuchwytnych, fantastycznych, ale zawsze promieniujących wysoką szlachetnością i szczytnym zadaną ludzkości pojęciem, to wspomnienia Wybranowskiego nie sięgają tak wysoko, ograniczając się na fotograficznym przedstawieniu, w szczegółach nieraz bardzo drobiazgowych, społeczeństwa naszego z końca XVIII i początków XIX wieku przed jego ostatecznym przeobrażeniem—zwyczajów domowych, zajęć i obyczajów znanych nam dzisiaj już tylko z tradycyi, której pamięć zaciera się coraz bardziej z dniem każdym. Od śmierci Henryka Rzewuskiego i Wincentego Pola niema już nikogo, coby świat ten znał tak dobrze i zblizka, coby go tak dobrze odgadł, pojął i artystycznie przedstawił potrafił z jego wszystkimi zaletami i przywarami. Wybranowski zna go jeszcze z widzenia, zapamiętał go z czasów swego dzieciństwa i kreśli z zamiłowaniem. Nie chodzi mu wcale o artystyczne przedstawienie rzeczy: pisze bez wytkniętego z góry porządku, przechodząc z przedmiotu na przedmiot, od szczegółu do szczegółów, jak mu się same przypadkowo pod rękę nasuwają i w pamięć wrażliwą. Jest to mazaika z drobnymi kamyczków złożona, zawierająca wiele rysów zajmujących, charakterystycznych, i układająca się w całość, dającą dobre o staroświeckim obyczaju domowym naszych przodków wyobrażenie. Za źródła służyły autorowi przedewszystkiem własne z lat chłopięcych wspomnienia, następnie rozmaite korespondencye i akta rodzinne. Z tych źródeł czerpiąc, pisze anegdotycznie, starając się być, ile możności, dokładnym i nie uronić nic z tego, co widział, słyszał i zapamiętał. Z tego względu ma *Silva rerum* Wybranowskiego wartość obyczajowo-pamiętkową.

Monografią historyczną na badaniach źródłowych osnutą: *Konfederacya Spytka z Mielsztyna*, wydał jeden z grona młodszych tutejszych pracowników na polu dziejowym, p. Antoni Prohaska. Główną postacią niniejszej pracy historycznej jest syn znanego z czasów Władysława Jagielly i sporów husyckich Spytka z Mielsztyna, także tego imienia smutnej pamięci Spytek Mielsztynski. Przedsięwziawszy uzupełnić wiadomość podaną przez Długosza, podaje p. Prohaska opis politycznego stanu Polski, po śmierci Władysława Jagielly, walkę stronnictw, toczącą się właściwie pomiędzy Zbigniewem Oleśnikiem a Spytkiem, wreszcie nieszczęśliwe dla tegoż zakończenie butnych jego zabiegów. Obraz skreślony wydatnie znamionuje dobrą metodę historyczną i talent dziejopisarski autora.

Na zakończenie pozwólcie poświęcić kącik skromnemu wydawnictwu, mającemu na celu nie tyle zadanie literackie, ile filantropijne. Mam przed sobą świeżo wydany dziesiąty już tom *Roczników Samborskich*, wydawanych przez G. Kohna, z których *cały dochód* idzie na cele dobroczynne, na ubogich miasta Sambora. Pod względem literackim dałoby się zapewne nie jedno zarzucić „Rocznikom Samborskim.” Wydawca nie jest co prawda, wybrednym w doborze artykułów. Znajdujemy tu wiele rzeczy, które mogłyby być bezpiecznie spocząć w tece autorów, po większej części podlotków pisarskich, nieporośniętych jeszcze w pierze. Ale za to przyniosły „Roczniki”, według załączonego sprawozdania rachunkowego, w ciągu wydawnictwa przeszło 1,100 guldenów grosza wdowiemu ubogim. Czyż to nie piękny

wynik, wobec którego można być mniej surowym na niedostatki literackie i mniej wymagającym?

Władysław Zawadzki.

Kronika działalności kobiecej.

— W skład komitetu wystawy tkackiej, którą Warszawskie Muzeum przemysłowo-rolnicze urządza w roku bieżącym, wchodzi hr. Róża Zamajska, jako spełniająca funkcje komisarza dla przemysłu włociańskiego.

— Nauka artystycznego rzeźbiarstwa została kobietom naszego miasta ułatwioną. Zamierza jej udzielać, wraz nauką modelowania, p. Sławomir Celiński; pracownia tego artysty mieści się przy ulicy Wareckiej, Nr. 7.

— P. Małgorzata Kreibich, Warszawianka, ukończyła w Paryżu szkołę felczerską i pragnie po złożeniu miejscowych egzaminów, praktykować w Warszawie przy jednej z naszych doktryn medycyny.

— Hodowla kur zaznacza się wciąż, jako korzystnie opłacać się mogąca gałąź gospodarstwa kobiecego. Agent lipskiego przedsiębiorcy, Hullmana, nabył niedawno na rynkach warszawskich partję jaj, wartości 3,500 rs. Pisma warszawskie donosiły niedawno o transporcie 5,000 kurcząt, wiezionych do Berlina, a które wysłał tam agent zamieszkały w Kutnie. Kurczęta te przedstawiały wartość 2,000 rs., a choć zdechły w drodze, ledwo dojechawszy do stacji Włocławek, jest to poboczna strona interesu: wypadek został spowodowany przez złe urządzenie w transportowaniu tego delikatnego drobiu, rzeczą główną tu jest, że nasz wywozowy handel drobiem istnieje i może przynosić zysk wiejskiemu gospodarstwu kobiety.

— Krakowskie Muzeum techniczno-przemysłowe wymienia między ofiarodawcami, którzy w roku bieżącym pomnożyli zbiory muzealne, pań piętnaście, a mianowicie: p. Biechońska ofiarowała dwa puchary szklane, pochodzące z Konstancji; p. Xawera Chlebowska filiżaneczkę porcelanową do kawy, także wschodniego pochodzenia; p. H. Cywińska suknią kobiecą z czasów Napoleona I-go; p. Figlowa drobny przedmiot dawnego stroju; p. F. Golejowska — kamień litograficzny z Czarnokoziniec; p. Justyna Krassowska talerz fajansowy z wizerunkiem księcia Józefa Poniatowskiego; p. B. Janowska drobny przedmiot dawnego stroju; p. Anna Lange dwa kobiece ubrania głowy z Siedleckiego (Powiat Włodawski); p. Emma Mieszkowska cztery talerze z porcelany starowiedeńskiej; p. Meleniewska kubek malowany z porcelany, wyrób fabryki w Korcu i trzy modeli sieci znad Donu; p. J. Michniewiczówna drobny przedmiot dawnego stroju; p. Teresa Oborska złotą bransoletę z czasów Napoleona I-go; p. Aniela Rogowska łapcie włociańskie z Mińskiego i 5 sztuk przyrządów gospodarczych z Polesia; p. Sianożęcka łapcie włociańskie z Mohylewskiego; p. Wł. Wrześniewska gorset, czepiec i rańtuch włocianek ze Spizu, oraz szklany przyrząd do prasowania czepców, grzebień drewniany do przepinania włosów z teje miejscowości; p. Maryla Zaleska pisanki z czterech miejscowości Podola, rękawiczki i weretę wyrobu włocianek ze wsi Gorczycej.

— Towarzystwo Tatrzańskie na posiedzeniu odbytem w Zakopanem mianowało delegatem swoim na miasto Poznań p. Kornelią Grabską.

— Wystawa szkoły koronarskiej w Zakopanem urządziła w początkach bieżącego miesiąca doroczną swą wystawę wyrobów uczennic, które przedstawiły się w znacznej różnorodności już bardzo wytwornych gatunków, jak: „Duchesse”, „Point d'Alençon”, „Point de gaze”, „Point de Venise”, „En relief”, brabantkie według starych wzorów. Wyrób jest bardzo staranny i piękny, ceny tanie, gust, wedle wzorów wiedeńskich, szlachetny. Szkoła liczy w roku bieżącym uczen-

nic 60, pochodzących z góralskiej ludności okolicznej, z pomiędzy których wyżej już posunięte w nauce zarabiają od 5 do 7 złr. reńskich miesięcznie. Kurs nauki, jak czytelnicy nasi już wiedzą, jest trzyletni. Na czele szkoły stoi zasłużona dyrektorka, p. Neuril; dwie jej pomocnice są to były uczennice szkoły, góralki.

— Panie przebywające w Zakopanem powzięły pocziwają myśl założenia Gospody Ludowej, głównie ze względu na uczniów istniejącej tam Szkoły Przemysłu Drzewnego, do której przybywa na naukę młodzież uboga ze stron dalszych. Uczniowie ci nie mieli gdzie jeść i w wolnych od nauki chwilach przytulić się zacisznie. Otóż obecnie braki te usunięte zostały; za 10 centów chłopcy mogą mieć obiad dostatecznie pożywający i w dodatku mogą tu posiedzieć i coś dobrego przeczytać. Że znaczne zakładu tego założycielki spełniły czyn dobry, dodawać nie trzeba, a to tem więcej, że nie ogranicza się on do samych uczniów wspomnianej szkoły. I starsi mieszkańcy Zakopanego zaczynają tam zachodzić i można się spodziewać, że gospoda stanie się z czasem dla miejscowej ludności góralskiej dobrem miejscem zbierania się na pogawędkę, na oświecanie sobie umysłów przez przyteczne czytanie pism i książek, stosownie dobranych, znajdując tam w dodatku tanie i zdrowe pożywienie. Bóg zapłać założycielkom.

— Stowarzyszenie Kobiet Słowackich: „Żywa” urządziło w Turczańskim S-tym Marcinie wystawę wyszywań, któremi Słowacy zdobią swoje narodowe ubiory. Wystawa otwarta d. 3 Sierpnia trwać będzie do końca tegoż miesiąca. Obok niej urządzoną została druga: wystawa obrazów malarza słowackiego, Jarosława Vesina.

— Szkoła dla dziewcząt polskich, dobroczynnie utrzymywana w Paryżu, w Hôtel Lambert, przez hr. Izę Działynską, posyła starsze uczennice na wykłady w Sorbonie. Otóż na liście nagrodzonych słuchaczek tych kursów spotykamy trzy Polki: p. Marya Sokołowska z Poznańskiego otrzymała pierwszy medal z muzyki; p. Józefa Haydukiewiczówna drugi medal z gramatyki i historii francuzkiej, oraz zaszczytną wzmiankę z literatury francuzkiej, historyi współczesnej i botaniki; p. Stanisława Jesiotrzyńska 4 medale: pierwszy z literatury niemieckiej, pierwszy z zoologii, pierwszy z matematyki, drugi z fizyki. Examin pierwszego stopnia złożyły w paryżkim Hôtel de Ville p.p. Jadwiga Słowacka i Elżbieta Wrześniewska; examini drugiego stopnia p.p. Jesiotrzyńska Stanisława i Haydukiewiczówna Józefa. Dwie ostatnie otrzymały przytem dyplomy na nauczycielki języka angielskiego.

Gdy corocznie pewna liczba pań polskich, kształcących się we Francyi, uzdalnia się na nauczycielki, już nawet wyższe: czemuż do nas przybywa rok rocznie zastęp Francuzek, nieznannej przeszłości i rzadko kiedy uzdolnionych naukowo?

W szkole Hôtel Lambert odznaczyły się przy składanych egzaminach p.p. Jesiotrzyńska St.; Haydukiewiczówna Józefa, Gasztowtt Julia, Okinczyc Bogdana (wnuczka Zaleskiego), Bielńska Anna, Konarzewska Halina, Wiśniewska Natalia, Pożarska Emilia, Błociszewska Zofia, Słowacka Jadwiga. Można przypuścić, że wszystkie te córki rodzin naszych mówią wybornie po francuzku i zapewne nie można nic zarzucić ich paryżkiemu akcentowi, który wiele, bardzo wiele matek naszych uważa za koniec do zbawienia — nie dusz wprawdzie, ale eleganckiego szyku i dobrego wychowania ich córek...

— Jak wiemy już z „Nowin Paryżkich” dwa krzyże Legii Honorowej dostały się kobietom francuzkim przy ich dorocznym lipcowym rozdawnictwie; jeden otrzymała Siostra Miłosierdzia Filomena, która pełniła przez lat trzydzieści cztery poświęconą swą służbę przy szpitalu wojskowym w Troyes, druga pani Furtado Heine (a nie „Hoene”). Tę ostatnią za wiadomą nam już filantropijną fundacyą spotkał zaszczyt korony obywatelskiej, przyznanej przez Stowarzyszenie zachęty do dobrego. Obok tych dwóch nagród najwyższych, udzielono kobietom piętnaście palm akademickich: dwie wyższego stopnia, dające prawo do tytułu: „Officier de l'Instruction Publi-

que" otrzymały parie: Marya Brèss doktorka medycyn, pierwsza z Francuzek, która sięgnęła po zaszczyt doktoratu i zawód lekarski, i Amelia Ernst, lektorka poezji w Sorbonie. Trzydzieści palm z prawem do tytułu: „Officier d'Académie”, rozdzielono między zasłużeńsze nauczycielki i artystki. Jest między ozdobionymi malarka Abemma, M-me Huet inspektorka fabryczna, czuwająca nad pracującymi tam dziećmi; trzy aktorki z Komedyi Francuzkiej; jest Anna de Lège, więcej znana pod pseudonimem Simony Arnaud, autorka szlachetnego, gorącym piórem pisanego, dramatu z dziejów żydowskich: „Les fils de Jahel.” I ta otrzymała też w roku bieżącym przez „Société d'Encouragement au Bien”, przyznana jej koronę obywatelską, lecz zasłużyła na to dwukrotne zaszczyty przez dzieło, może nie najwyższego talentu, ale najwyższego uczucia obywatelskiego, najszczytniejszych jego uniesień. Obgaduje się Francya, utrzymując, że zatraciła w sobie wyższą, gorętszą miłość swego kraju—ojczyzny. Czują ją i „umysły pocziwe”, jak świadczy fakt, że autorka *Synów Jaheli* tak uczciwie została przy średnim natchnieniu poetycznym. Uwieńczono ją za natchnienie uczciwego uczucia.

— Do czynów szlachetnych, które godzi się zapisać w kronice bieżącej historii świata, zaliczyć trzeba: Głos kobiet angielskich do kobiet irlandzkich: „The Women of England to the Women of Ireland.” Odezwa ta opatrzona w 38,350 podpisów, jest protestem Angielek przeciw temu, co się dzieje dziś w Irlandyi i wyrazem ich sympatii, zwróconej do kobiet irlandzkich, cierpiących z powodu nieszczęść ich kraju. Deputacya Angielek, złożona ze znanych i szanowanych osobistości, przybywszy do Dublina, złożyła ten adres na ręce Lady Mayoressy tegoż miasta Składały ją: M-rs Mill, M-rs Schwann, Miss Mill, Miss Jane Cobden, Miss Gertruda Thompson (prawnuczka poety). Wszystkie te Angielki wyznają się stronniczkami pragnień Ligi Irlandzkiej, motuwując to szlachetnie w przemowie do Lady Mayoressy Dublinu, że „prawo, bo siusznosc jest po tej stronie.”

— Angielskie Towarzystwo Geograficzne przypuściło kobiety do swego grona, jako członków regularnych.

— Malarka niemiecka, Herminia Preuschen, przysłała na otwartą obecnie wystawę sztuki w Berlinie, obraz fantastycznej treści, przedstawiający śmierć w jej legendowej postaci kościotrupa, który, wkroczywszy do wielkiej i wspaniałej, lecz pustej sali, zamierza zasiąść na tronie, stojącym w głębi, i owija się w purpurę, leżącą na nim. Tytuł obrazu, który, jako dzieło sztuki, nie przechodzi średniej wartości, jest: „Mors Imperator.” Komitet wystawowy, doszukawszy się tu aluzji do położenia, jakie przy sędziwym wieku cesarza wytwarza zachwiane zdrowie jego następcy, odmówił przyjęcia obrazu; ale jego twórczyni zaprotestowała przeciw wyrokowi i podsuwaniu jej intencji, której nie miała. Salomonowe rozmyślanie nad znikomością rzeczy ludzkich, aforizm: „Próżność próżności i wszystko próżność”... były jej natchnieniem do kompozycji czysto moralnego znaczenia, w której wystawiła śmierć, jako ostatecznego zwycięzcę człowieka. Dołączając powyższą cytata, jako motto obrazu, apellowała od wyroku komitetu do Cesarza Wilhelma, który jej jednak odpowiedział, że nie uważając się za znawcę w rzeczach sztuki, nie miesza się nigdy w sprawy artystyczne.

— Wykształcenie Kobiet Japońskich, odpowiada ogólnym postępowi cywilizacji tego kraju, do czego grunt był dawno przygotowany, bo Japonki to głównie obroniły narodową kulturę od zalewu chińskiego, Japonki reprezentowały ten kie-

runek w literaturze, w której zajęły podniosłe miejsce, jako wysoce zdolne i odpowiednio wykształcone, szlachetnym duchem miłości rzeczy swoich przejęte pisarki. Obecnie w gimnazjum dla dziewcząt, założonem w Tokio według modły europejskiej i z europejskim planem nauk, niema nigdy miejsc wakujących, a jedna ze świeżo wyszłych z niego uczennic, Kimura Hida, zapragnęła nauki uniwersyteckiej i otrzymała cesarskie pozwolenie studyowania tam medycyny. Pierwsza to jest kobieta japońska, kształcąca się do zawodu lekarskiego.

Z BIEŻĄCEJ CHWILI.

— **Z Poznania** wyjechało w tym roku na letnie kolonie wakacyjne 381 niezamożnej dziatwy szkolnej, a mianowicie: dziewcząt 267, chłopców 114. Z tych znalazło gościnność we dworach większych właścicieli ziemskich 241, tak chłopców, jak dziewcząt; u 5 księży plebanów chłopców 7; 62 obywateli z miasteczek pomieściło się 68 dzieci; 59 gospodarzy rolnych przygarnęło ich 65. Razem tworzy to niewymownie miły i pocieszający obraz pocziwego poczucia się wszystkich stanów do obowiązku pomocy względem uczącej się, a niezamożnej młodzieży, wykazując jednocześnie wysoki już stopień kultury w klassach średnich, udowodniony przez tę humanitarną i obywatelską solidarność. Początkowo tylko dwory większych właścicieli ziemskich otwierały się na przyjęcie dziatwy poznańskiej, ale zaraz wkrótce tak kmiecie po wioskach, jak drobne mieszczaństwo uczuło, że obowiązki obywatelskie godzi się spełniać wspólnie, bo wspólny potem jest z nich pożytek.

— **W Zakopanem** odbywa się jednocześnie z wystawą szkoły koronkarstwa wystawa szkoły przemysłu drzewnego, mieszcząca się w trzech obszernych salach szkoły. W sali I-ej, modelarni, zwracają uwagę trzy figury: Chrystusa, Matki Boskiej i Ś-go Piotra, roboty uczniów: Ustupskiego i Toreski. W sali II-ej postać leżącego Chrystusa wpół naturalnej wielkości i rzeźbiony ołtarz Szatkowskiego, odręczne rysunki Szatkowskiego i Drozdowskiego wykazują zdolności uczniów i staranność szkoły. W tejże sali mieści się i wystawa robót stolarskich: bardzo dobrze odrobione stolki, krzeselka rozmaitego gatunku, i bardzo ładny kredens. Sala III przedstawia okazy już wyborowe. Rzeźbione portrety Pola, Słowackiego, Lelewela, wykonane przez uczniów: Magiere, Berezę, Giemorkę, wkraczają już w dziedzinę artyzmu i mogłyby ujęć za dzieła uczniów ze szkoły sztuk pięknych. Podobieństwo rysów, czystość, wykończenie wielkie i pozwalające dobrze wróżyć o przyszłości wykonawców.

Poza szkołą istnieje stowarzyszenie jej byłych uczniów, którzy urządzili sobie w Zakopanem wspólną pracownię i sklep, gdzie wystawiają z zamiarem zbytu wyroby swoje. Są one rozmaite, wiele z nich bardzo ładnych, szkoda tylko, że są stosunkowo drogie—droższe od styryjskich i szwajcarskich. Zarzut ten podniesiony został przez Wydział Towarzystwa Tatrzańkiego na przsiedzeniu odbytem w Zakopanem, d. 14 Sierpnia. Gmina Nowego Targu czyni starania, aby szkoła została przeniesioną do tego miasteczka. Obecnie stowarzyszeni jej uczniowie dawni zarabiają miesięcznie od 15 do 20 złotych reńskich.

— **Paryzka Akademia lekarska** roztrząsała na ostatniem swem posiedzeniu kwestyą przeciążania nauką uczniów publicznych szkół francuz-

kich. Na wniosek Dr. Trelat i Dr. Hardy, zapisanym został do protokołu ten rezultat rozpraw posiedzenia: — „Akademia zwraca uwagę władz publicznych na potrzebę zastosowania urządzeń szkolnych do prawideł higieny i wymagań naturalnego rozwoju fizycznego uczącej się młodzieży, dodając życzenie, aby wszystkie licea i kollegia dla internów przenieść z Paryża na wieś, a przede wszystkim i niezwłocznie polepszyć warunki oświetlenia i przewietrzania izb szkolnych. Nie rozbiegając planu nauk, którego uproszczenia Akademia pragnie gorąco, podnosi ona szczególnie, i z naciskiem trzy punkta edukacyjnego programu:

1) Powiększenie liczby godzin przeznaczonych na sen uczniów.

2) Zmniejszenie liczby godzin lekcji i przygotowywania do nich, oddanie ich części na odpoczynek ciała i umysłu.

3) Konieczne zniewalanie uczniów do codziennych, wiekowi ich odpowiednich ćwiczeń fizycznych, jak bieganie, skakanie, szermierka i gry gimnastyczne.

— **Książę Napoleon Bonaparte** ma wkrótce ogłosić drukiem książkę pod tytułem: „Napoléon et ses détracteurs.” Mają się tam znajdować ustępy nas obchodzące, mniej znane, i fakta historyczne, także w związku z nami.

— **Marszałek Mac Mahon** zgodził się na drukowanie pamiętników, które napisał, ale w liczbie exemplarzy bardzo ograniczonej, które zostaną rozdane tylko rodzinie i przyjaciółom najbliższym. Marszałek będzie robił korektę osobiste, składanie zostanie powierzone zecerowi wypróbowanej uczciwości i który otrzyma za pracę swoją wysokie wynagrodzenie.

Pamięć narodów umie być na wieki trwała. Szkocya potrafiła nie zapomnieć dotąd Wiliama Wallace'a i na obszernej równinie Stirling, gdzie niegdyś rozgrywała się między Szkotami i Anglikami—Sasenachami, jak ich zwano wtedy w Szkocyi,—wielka bitwa rozstrzygająca o losie Szkocyi, wzniesionym został dla jej zwycięskiego bohatera pomnik. Kolumna ta jest wysoka na 300 stóp, a na niej postać rycerska z mieczem w rękę, wskazująca w stronę, gdzie, według świadectw historii, stało wojsko angielskie. Margrabia Bute, jeden z najbogatszych panów połączonych królestw, przydował i przemawiał przy odsłonięciu pomnika, wyznając się gorąco do ziemi swojej przywiązany Szkotem. Przy uczcie następnie odbytej, śpiewano pieśni Burnsa i deklamowano z poematu Walter - Scota „Pan Dwóchset Wysp” wyjęte ustępy o patryotycznych czynach Wallace'a.

— **Gladstone** w rezydencji swojej Dollis Hill przyjmował deputacyą Irlandczyków amerykańskich, która przedstawiając dziesięć tysięcy swoich mocodawców, złożyła mu adres dziękczynny za jego uczucie sprawiedliwości okazywane ich nieszczęśliwej ojczyźnie. W dodatku dołączoną była srebrna, bardzo kunsztownie odrobiona pamiątka: dąb z rosnącą na nim jemiolą i zawieszoną na gałęziach harfą irlandzką, z mieczem i świętym nożem ofiarniczym, który służył Druidom do zrywania jemioli. Dar ten jest trzy stopy wysoki i waży 88 łutów najlepszego srebra.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 13-ty powieści pod tytułem: **Dzisiejsi**, przez H. Rabussona.

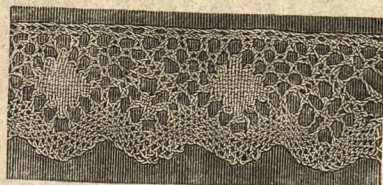
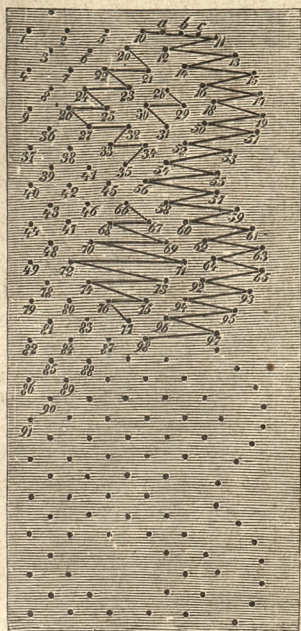
TREŚĆ: Julia Petöfi, (dalszy ciąg). — Pogawędka. — Zjazd Towarzystwa Pedagogicznego w Stanisławowie, (dokończenie). — Filistry, powieść (dalszy ciąg), przez M. Gawalewicza. — Korrespondencya zagraniczna, Lwów, (dokończenie). — Kronika działalności kobiecej. — Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: Arkusz 13-ty powieści pod tytułem: **Dzisiejsi**, przez H. Rabussona. — 16 wzorów ubiorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycyą stołu.

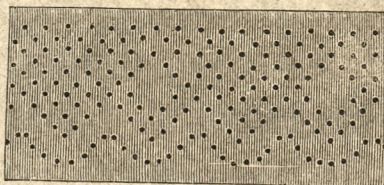
Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

Дозволено Цензурою.—Варшава, 19 Августа 1887 года,

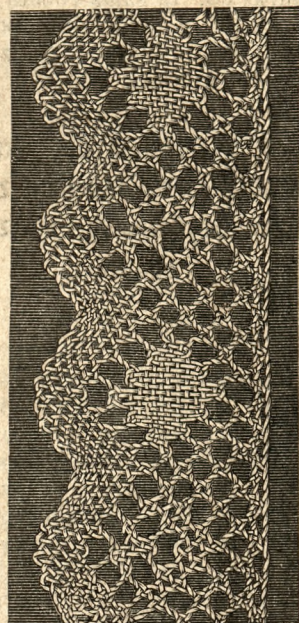
Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg



Nr 1. Koronka klockowa robotą Wielkość naturalna. (Do ryc. 2 do 4).



Nr 2. Wzór na koronkę klockową ryc. 1. Wielkość naturalna.



Nr 4. Koronka klockowa robotą. (Do ryc. 1-3). Powiększona.

Koronka klockowa robotą.

Rycina Nr 1 do 4.

Koronka wykonana niemi Nr 120, a 15 parami klocków. Narysowawszy sobie wzorek podług ryciny 2 i zamocowawszy go na wałeczku poduszki, należy wpiąć szpilkę w dziurkę 1 (numera dziurek

Nr 3. Wzorek na koronkę klockową ryc. 1. Powiększony.

oznaczone są na powiększonym wzorku ryc. 3) zawiesić na niej 3 pary klocków, poczem 1 ścieg podwójny 3 i 2 para, 1 podwójny ścieg 2 i 1 para,

pierwszą parę 1 raz okręcić, 1 podwójny ścieg 2 i 3 para. Drugą szpilkę wpiąć w dziurkę 2, zawiesić na niej 2 pary klocków, obie pary 1 raz okręcić, szpilkę jednym pół-ściegiem zamknąć, obie pary okręcić. Poczem 4 i 3 para 1 pół-ścieg obie pary 1 raz okręcić, szpilkę wpiąć w dziurkę 3, zamknąć takową, obie pary 1 raz okręcić, poczem trzema pierwszymi parami brzeżek, przy czem należy szpilkę wpiąć w dziurkę 4. Wpiąć szpilkę w dziurkę 5, zawiesić na niej 2 pary klocków, wykonać niemi te samą robotę, co klockami, na szpilce 2 zawieszonymi, poczem zarobić zwykłą robotą klockową dziurkę 6, 7 i 8, następnie brzeżek trzema pierwszymi parami, wpinając przytem szpilkę w dziurkę 9. Następnie należy wpiąć szpilkę w dziurkę 10 a b i c, na każdej zawiesić po dwie pary klocków, poczem * pół-ścieg 8 do 15 para, szpilkę wpiąć w dziurkę 11, pół-ścieg 15 do 9 para, szpilkę wpiąć w 12 dziurkę, pół-ścieg 9 do 15 para, szpilkę wpiąć w dziurkę 13, pół-ścieg 15 do 10 para, szpilkę wpiąć w dziurkę 14 i tak dalej aż do 19 dziurki, poczem pół ścieg 15 do 12 para, pół-ścieg 8 do 7 para, szpilkę wpiąć w dziurkę 20, pół-ścieg 7 do 9 para, szpilkę wpiąć w dziurkę 21, pół-ścieg 9 do 6 para, szpilkę wpiąć w dziurkę 22, pół-ścieg 6 do 8 para, szpilkę wpiąć w 23 dziurkę, pół-ścieg 8 do 5 para, szpilkę wpiąć w dziurkę 24, pół-ścieg 5 do 7 para, szpilkę wpiąć w dziurkę 25, pół ścieg 7 do 4 para, szpilkę wpiąć w 26 dziurkę, zamknąć takową 1 pół-ścieg 5 i 6 para, szpilkę wpiąć w dziurkę 27 zamknąć, 1 pół-ścieg 6 i 7 para; 10 i 9 para ścieg cerowany, szpilkę wpiąć w dziurkę 28, ścieg cerowany, 9 do 11 para, szpilkę wpiąć w dziurkę 29, ścieg cerowany 11 do 8 para, szpilkę wpiąć w dziurkę 30, ścieg cerowany 8 do 10 para, szpilkę wpiąć w dziurkę 31, cerowany ścieg 10 i 9 para, 8 do 11 para jeden raz okręcić, poczem 8 i 7 para 1 pół-ścieg, szpilkę wpiąć w dziurkę 32, pół-ścieg 8 do 6 para, szpilkę wpiąć w dziurkę 33, pół-ścieg 6 do 9 para, szpilkę wpiąć w dziurkę 34, pół ścieg 9 do 7 para, szpilkę wpiąć w 35 dziurkę, pół-ścieg 7 i 8 para. 4 do 5 para po raz okręcić, następnie zarobić w sposób wiadomy dziurkę 36, do dziurki 49, tudzież brzeżek, wpinając szpilkę w dziurkę 37, 40, 44 i 49; pół-ścieg 12 i 11 para, szpilkę wpiąć w 50 dziurkę, pół ścieg 11 do 15 para, szpilkę wpiąć w dziurkę 51, pół-ścieg 15 do 10 para, szpilkę wpiąć w dziurkę 52, pół-ścieg 10 do 15 para, szpilkę wpiąć w dziurkę 53, pół-ścieg 15 do 9 para, szpilkę wpiąć w dziurkę 54, pół ścieg 9 do 15 para, szpilkę wpiąć w 55 dziurkę, pół-ścieg 15 do 8 para, szpilkę wpiąć w dziurkę 56. Od dziurki 56 do dziurki 65 należy wykonać to samo, co od dziurki 10 do 19, poczem 1 ścieg cerowany 8 i 7 para, szpilkę wpiąć w dziurkę 66, ścieg cerowany 7 do 9 para, szpilkę wpiąć w dziurkę 67, 1 ścieg cerowany 9 i 6 para, szpilkę wpiąć w dziurkę 68, ścieg cerowany 6

do 10 para, szpilkę wpiąć w dziurkę 69, 1 ścieg cerowany 10 do 5 para, szpilkę wpiąć w 70 dziurkę, ścieg cerowany 5 do 11 para, szpilkę wpiąć w 71 dziurkę, 1 ścieg cerowany 11 do 4 para, szpilkę wpiąć w dziurkę 72, ścieg cerowany 4 do 10 para, szpilkę wpiąć w dziurkę 73, 1 cerowany ścieg 10 do 5 para, szpilkę wpiąć w dziurkę 74, ścieg cerowany 5 do 9 para, szpilkę wpiąć w dziurkę 75, 1 ścieg cerowany 9 do 6 para, szpilkę wpiąć w 76 dziurkę, ścieg cerowany 6 do 8 para, wpiąć szpil-



Nr 5. Suknia z materiału w kratkę. Plecy. (Do ryc. 6). Opis pierw. str. tabl.



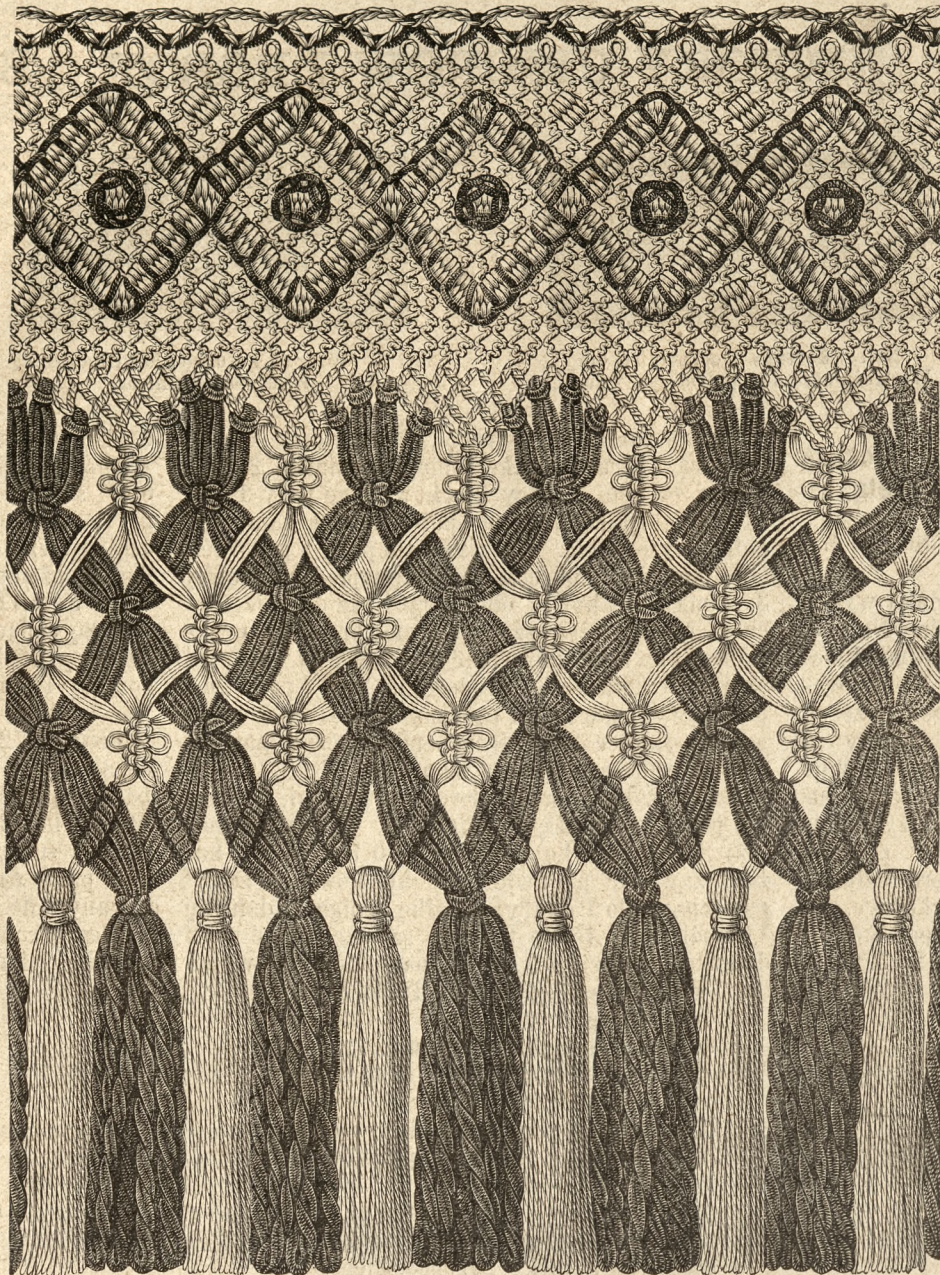
Nr 6. Suknia z materiału w kratkę. Przód. (Do ryc. 5). Opis pierw. str. tabl.

kę w dziurkę 77, 1 ściąg cerowan-ny, 8 i 7 parą zamknąć, poczem 4 do 11 parę po dwa razy okręcić i powtórzyć od dziurki 78, do dziurki 98, tą samą robotą co od dziurki 36, do dziurki 56, poczem od * powtórzyć, do potrzebnej długości koronki.

Szlak z frendzlą do pokrycia na sofę maszynowym szlaczkiem, szydełkową i wiązaną robotą.

Rycina Nr 7.

Szlak ten wykonany jest pasową cienką sznelką i krętą bawełną kremowego koloru, na wstawce maszynowej tegoż koloru. Wykonawszy przez środek wstawki haciek podług ryciny i obdziergawszy takowy pasową sznelką, należy najpierw z jednej strony wstawki rozpocząć robotę szydełkową w następujący sposób: * 2 słupki w drugą pętelkę wstawki, po każdym 3 powietrznym oczku, przyczem należy wrabiać mocną pasową sznelkę, od * powtórzyć. Kolej 2 po drugiej stronie wstawki samą bawełną: * 1 ściśle oczko w pierwszą pętelkę, 3 powietrzne oczka, 1 słupek w następną pętelkę wstawki, 3 powietrzne oczka, 1 podwójny słupek w te same oczko, dolną żyłkę przerobić, poczem 1 słupek w następną pętelkę, górne żyłki po kolei przerabiać, † 3 powietrzne oczka, 1 podwójny słupek w żyłkę poprzedniego słupka, 1 słupek w następną pętelkę, górne żyłki obu razem po kolei przerabiać, od † jeszcze 1 raz powtórzyć, wszakże po 3 powietrznych oczkach, jeszcze jeden podwójny słupek wykonać w górną żyłkę poprzedniego podwójnego słupka, przy zakończeniu zaś tego powtórzenia, żyłki tego dodatkowego słupka, tak samo po kolei przerobić, poczem 5 powietrznych oczek, 3 słupki po każdym 3 powietrznym oczku, 3 powietrzne oczka, od * powtórzyć. Na każdym 5 powietrznych oczkach ząbka, należy szydełkiem uwiązać 4 nitki bawełny około metra długie, tudzież na następujących bocznych 3 powietrznych oczkach, po dwie nitki tej samej długości i po jednej nitce sznelki, tudzież po jednej złożonej we dwoje nitce sznelki, na obydwóch trzech powietrznych oczkach poprzecznie, w samym wkleśnięciu ząbków, poczem wiązaną robotą należy wykonać kolej pierwszą szesnastoma środkowymi nitkami bawełny: Cztery podwójne węzły, przyczem osiem środkowych nitek służy za podkład, a cztery po każdej stronie do wiązania



Nr 7. Frendzla do przykrycia na sofę. Połowa wielkości naturalnej.



Nr 8. Czwarta część serwetki wywlekaną robotą.

nia węzłów; czwarty węzelek należy wykonać w odstępie jednego centymetra od trzeciego, poczem takowy przeciągnąć dla utworzenia pętelek. Następujące osiem końców sznelki pasowej należy związać jednym podwójnym węzłem, przyczem również cztery środkowe nitki służy za podkład, a dwa poboczne do wiązania. Druga i trzecia kolej wykonywa się jak pierwsza kolej, należy tylko zwrócić uwagę na deseń roboty i odpowiednio do wzoru przewlekać nitki przed wiązaniem. Kolej czwarta: * Pierwsze osiem nitek z szesnastu nitek bawełny, ukośnie położyć na sznelowych nitkach i każdą z nich wykonać po dwa dziergane ścięgi, poczem od * powtórzyć, w końcu należy związać ze sobą każde osiem nitek bawełny i każde osiem nitek sznelki i zakończyć robotę kwadricami ze sznelki i z bawełny podług ryciny.

Czwarta część serwetki robotą wywlekaną.

Rycina Nr 8.

Zaobróbiwszy brzegi czworograniastego kawałka grubego płótna dowolnej wielkości, należy powywlekać z każdej strony po 30 nitek, zostawiając 25 nitek nietkniętych, poczem jeszcze raz wywleć 30 nitek, a pozostawić 12 nitek, poczem na środkową część serwetki wzdłuż i w szerszą na przemian po 55 nitek wywlekać, a po 74 nitek pozostawiać, z uwzględnieniem właściwej formy narożników roboty. Luźne nitki tkaniny należy podług wzoru obwieść jedwabiem piaskowego koloru, a następnie przewlec takim samym jedwabiem przez środek, krzyżując każde czternaście nitek, na rogach roboty należy utworzyć pajęczek z kręconego jedwabiu; obrąbek należy przyozdobić krzyżowym szwem oliwkowym jedwabiem, zaś pierwszy szlaczek należy zahaftować, podług wzoru, ceglą i niebieską filozelą. Środek serwetki należy najpierw przesyć w rozmaitych kierunkach, podług ryciny piaskowym jedwabiem, poczem w punktach skrzyżowania nitek wykonać kółeczko ścięgiem koronkowym, na niewywleczonych kwadracikach, należy wykonywać podług ryciny, gwiazdki naprzemia oliwkową, niebieską i piaskową filozelą, tudzież piaskową, oliwkową i ceglą.

Płaszczki dla dzieci od 2 do 4 lat.

Rycina Nr 10 i 11. Krój odwr. str. tabl. Nr VIII, fig. 53—61.

Na ten płaszczki należy ukroić z materiału w kratkę, z uwzględnieniem odmiany w kontrach lewej połowy fig. 53 i 54, podług fig. 53 do 56, 59 i 60 po dwie części, z gładkiego sukienka, podług fig. 57 i 58 po jednej części złożonej wzdłuż środka, podług fig. 61 mankiety, w prawej połowie należy naciąć i wykończyć kieszonkę, zamocować następnie wzdłuż górnego brzegu każdy krzyżyk na kropkę, w pasie zmarszczyć kilka razy w równych odstępach, poczem karczek (figura 54) zamocować na prawej połowie, od liczby 39 do 40, na lewej od gwiazdki do liczby 40, połączyć wszystkie części podług znaków, przyszyć hafteczki do zapinania, wreszcie dolny brzeg połączyć dwoma częściami 27 centymetrów długości, a 48 centymetrów szerokości, z których prawa naszyta z tyłu plisną sukienką zachodzi 5 centymetrów na lewą, a których górny brzeg zmarszczony jest na grubym wełnianym sznurze, 250 centymetrów długości, którego końce wiąże się w kokardę. Rękawy poseszywane podług znaków, wszywają się w pachy, trafiając liczbą 53 rękawa, na takąż liczbę przodów płaszczki, naszytego w środku rzędem ozdobnych guzików, podług wskazania ryciny.



Nr 10. Płaszczki dla dzieci od 2 do 4 lat. Przód. Krój odwr. str. tabl. Nr VIII, fig. 53—61.



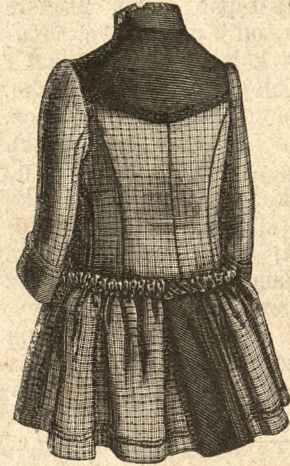
Nr 9. Ubranie dla chłopczyka od 8 do 10 lat. Krój i opis odwr. str. tabl. Nr VII, fig. 46—52.

dziurkowanym tle, 12 centymetrów szerokości. Rycina Nr 16 przedstawia ścieg, wykonany popielatą, białą, żółtą i brązową filozelą. Brzeży serwety zakończone są u dołu frendzlą pasmanteryjną, a z boków grubym wełnianym sznurem pasowym podług ryciny.

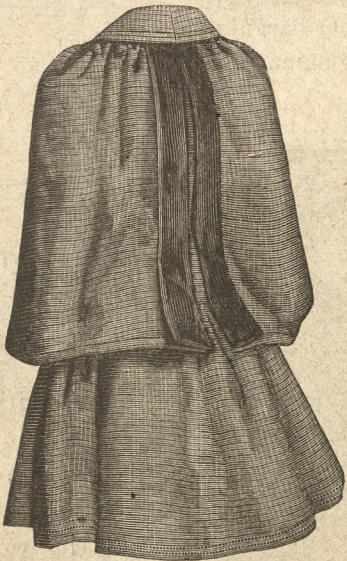
Sukienka dla dzieci od 1 do 2 lat szydełkową robotą.

Rycina Nr 21 w Blu. Nr 36

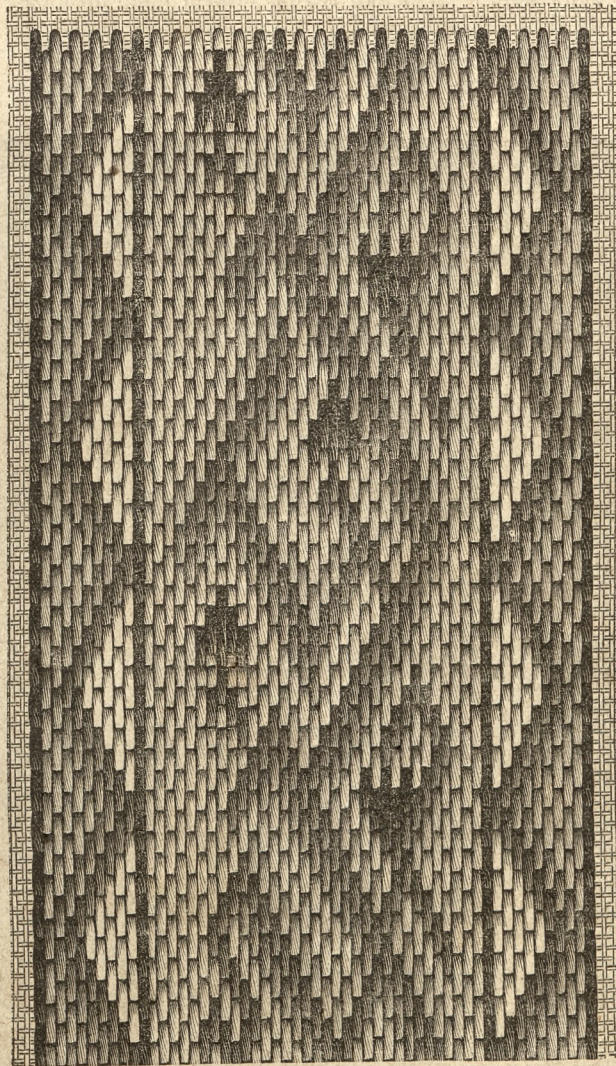
Sukienka z zefirowej białej włóczki, gęstym deseniem szydełkową robotą wykonana. Stan robi się w kierunku poprzecznym, pół-słupkowym ściegiem, spódniczka zaś na dolnych oczkach stanu połączonych w koło. Robotę należy rozpocząć od lewej połowy pleców na założeniu z 50 oczek. Kolej 1: 2 pierwsze oczka opuścić, poczem 1 pół-słu. w każde następne ocz. Kolej 2: 2 powietrzne oczka, poczem 1 pół-słupek w każdą dolną żyłkę poprzedniej kolei. Kolej 3 do 34 kolei jednako, tylko dla nadania sukience właściwej formy, należy skończywszy kolej 9, założyć 12 świeżych ocz. na ramię, poczem w 10 kolei 2 pierwsze ocz. z tych 12 ocz. opuścić, w każdym zaś następnym wykonać po je-



Nr 9. Płaszczki dla dzieci od 2 do 4 lat. Plecy. (Do ryc. 10).



Nr 12. Płaszczki dla dziewczynki od 6 do 8 lat. Plecy. Krój i opis pierw. str. tabl. Nr I, fig. 1—9.



Nr 14. Szlak na serwety, poduszki i t. p. węgierskim haftem.



Nr 13. Płaszczki dla dziewczynki od 6 do 8 lat. Przód. (Do ryc. 12).

Szlak na poduszki, serwety i t. p. węgierskim haftem.

Rycina Nr 14.

Szlak ten wykonany jest na niepodzielnej kanwie, brązową, cegląstą, oliwkową i kremową filozelą, długimi ściegami węgierskimi, każdy ścieg przez cztery nitki wzdłuż a jedną wszersz.

Serwetka na stół do szycia.

Rycina Nr 15 i 16.

Serwetka podłużna z pasowego sukna, przyozdobiona dwoma haftowanymi szlakami na

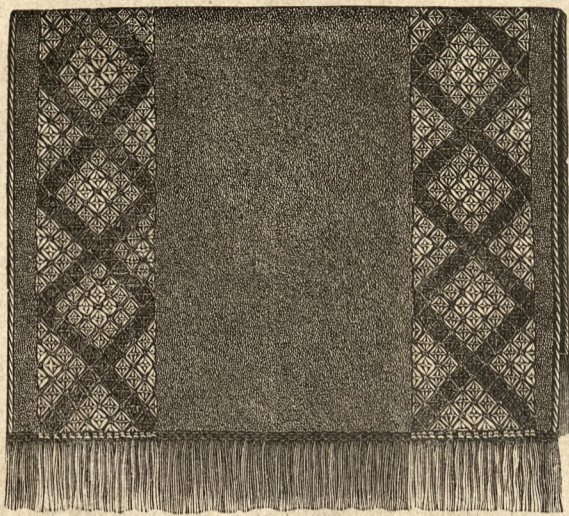
dnym pół-słupku; w 18 kolei należy na pachy pozostawić 20 oczek nieprzerobionych, poczem w 19 kolei należy na drugą połowę pachy założyć świeżo 20 oczek, połączyć ostatnie oczko z ostatnim słupkiem 17 kolei i z brzeżnym ocz. 16 kolei, poczem 20 pół-słupków w każde oczko. Przed rozpoczęciem każdej drugiej kolei, z następujących 6, należy spajać odpowiednie oczka z brzeżnymi oczkami 15 do 10 kolei. W 27 kolei należy nieprzerabiać ostatnich 10 oczek na ramieniu, poczem należy wykonywać robotę bez żadnej zmiany, aż do 34 kolei, która stanowi połowę przodu. Drugą połowę stanu należy wykonać zupełnie w ten sam sposób w odwrotnym kierunku, poczem ostatnie 28 oczek należy połączyć z pierwszymi 28 oczkami założenia, ściślemi oczkami po lewej stronie roboty. Rękaw należy wykonać tym samym ściegiem, rozpoczynając od spodu, na założeniu z 36 oczek. Z 22 kolei stanowiących

rękawek, należy 13, 14 i 15 kolej, dla nadania właściwej formy, o 5 oczek skracać u dołu rękawa, każde ostatnie oczko zamocować włóczką do górnego brzegu przeprowadzić lub obciąć i następną kolej wykonać na wszystkich oczkach. W górnym brzegu rękawa należy co drugą kolej jedno oczko przybierać, aż do 10 kolei, poczem od 12 kolei po jednym oczku tracić również co drugą kolej, poczem należy wszyć rękaw w pachę lub wrobić ścisłymi oczkami po lewej stronie roboty. Zakończywszy dolny brzeg stanu dwoma kolejami oczek ścisłych, należy rozpocząć spódnickę. Kolej 1 ciągle naprzemian: po 4 ścisłe oczka w kolejne 4 oczka, 3 ścisłe oczka w następne oczko. Kolej 2: 1 ścisłe oczko, * 2 oczka opuścić, 2 ścisłe oczka w następne 2 oczka, 3 ścisłe oczka w następne oczko, 2 ścisłe oczka w następne 2 oczka, od * powtórzyć, w końcu zamiast 2 oczek, tylko 1 oczko wykonać. Kolej 3 do 6 kolei, jak poprzednia kolei. Kolej 7: 1 ścisłe oczko, * 1 oczko opuścić, 3 ścisłe oczka w kolejne 3 oczka, 3 oczka w następne oczko, 2 ścisłe oczka w następne 2 oczka, od * powtórzyć. Kolej 8 do 16 jak poprzednia kolei, tylko zamiast 1 po 2 oczka opuszczać. Kolej 17: 1 ścisłe oczko, * 1 oczko opuścić, 3 ścisłe oczka w kolejne 3 oczka, 3 ścisłe oczka w następne oczko, 3 ścisłe oczka w kolejne 3 oczka, od * powtórzyć. Kolej 18 do 25 kolei, jak 17 kolei, tylko zamiast 1, po 2 oczka opuszczać. Mankiecik i kołnierz należy wykonać tym samym ścięciem, co spódnica, poczem wykrój szyi trzema kolejami pół-słupków, przez które należy przewlec sznureczek włóczkowy, zakończony kwaścikami. Wreszcie jedną kolejją oczek ścisłych, należy zarobić brzegi rozporoka sukienki.

Przepisy gospodarskie.

Jabłka smarzone w cieście.

Winkowate, krusze jabłka, obrane bardzo cienko ze skórki, pokrajać w plasterki w ten sposób, aby plasterki były całe, krajać z dwóch z dwóch stron, a zostawiając środek z pestkami. Namoczyć te plasterki w wódce, biorąc na trzy jabłka pół szklanki wody i pół szklanki spirytusu, w którą wsypać łyżkę czubatą cukru i włożyć kawałek cynamonu. Cztery żółtka uwiercić, rozbić z łyżką pełną najpiękniejszej mąki, dodać łyżkę młodej śmietany lub bardzo gęstej słodkiej, białka ubić na pianę, dobierać jej po trochu do masy utartej, bardzo długo — gdyż kładąc od razu, piana się rozejdzie, a trzeba ciągle wiercić, aby z pianą gęstniało, dla tego powtarzam — po łyżce piany dokładać, maczać jabłka w tym cieście, wyjmując z wódki dobrze osączone, rzucać na go-

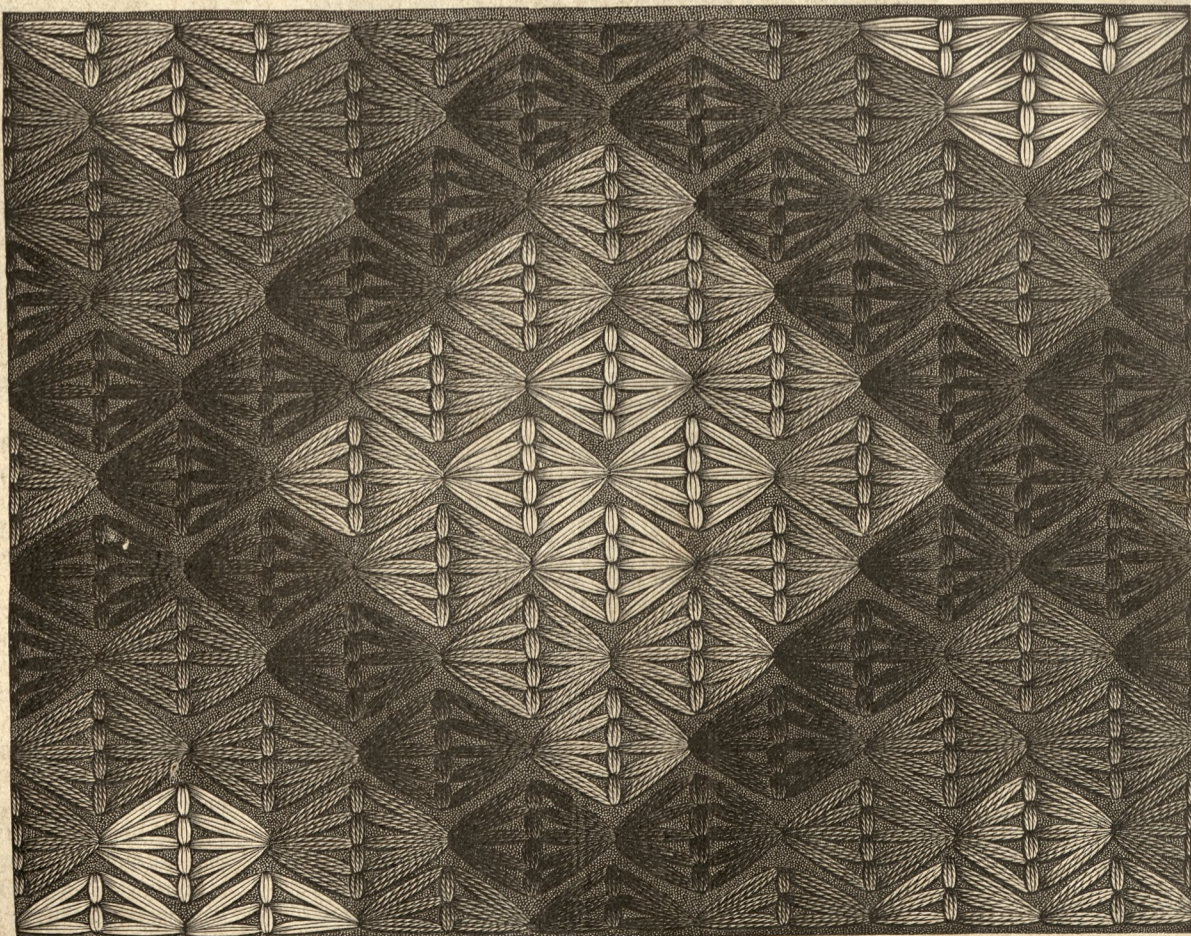


Nr 15. Serweta na stolik do roboty. (Do ryc. 16)

racą fryturę, której powinno być dużo i smarzyć, przewracając ostrożnie, aż nabiorą pomarańczowego koloru, obsypując zaraz po wyjęciu z tłuszczu, obficie cukrem, zmieszany z przesianym cynamonem. Jeżeli kto nie ma pod ręką wódki, to niech jabłka obsypie mialkim cukrem i zostawi w misce na parę godzin, a także będą wyborne.

Likier francuzki zwany „chartereuse“.

W pół-kwarcie najlepszego spirytusu namoczyć jeden lut kolendru w całości, jedna-szusta luta anyżu, jedna-szusta luta mięty pieprzowej, jedna-szósta luta szalwii i jedna-czwarta luta angeliki. W drugiej zaś flaszczece w kieliszku spirytusu namoczyć jedną szczyptę szafranu. Niech to stoi dni dziesięć. Wtedy wziąć pięć funtów syropu cukrowego (dostać go można w składach kolonialnych), bo z syropu się nie zcukrzeje — w braku tegoż, cukru, lejąc na każdy funt szklankę wody, zagotować dwa razy, to jest tyle tylko, aby zebrać pierwsze szumowiny,



Nr 16. Część haftu na serwetę ryc. 15. Wielkość naturalna.

gorący syrop rozebrać pół garncem spirytusu Nr 4, czyli 90 próby — wymieszać łyżką, a gdy wystygnie, wlać ową essencją z korzeni, filtrując ją od razu przez szwedzką bibulę, w końcu wlać szafran także filtrując — pozlewać w suche butelki, a bez filtrowania po 10 dniach, będzie czysta jak lza — formując lekki bardzo osad, jak zwykle na spodzie.

Po trzech miesiącach najprędzej można używać będzie wyborny i nie ustępujący w niczem francuzkiemu.

L. C.

Środki domowe.

Jak się przekonać, czy miód jest fałszowany, lub nie?

Wziąć łyżkę miodu, wlać we flaszczykę, dolewając trzy łyżki winnego spirytusu, potrząsać mocno przez kilka minut, a potem postawić w spokoju na kilka godzin — jeżeli miód czysty, to wypłynie na wierzch, a jeżeli nie, to na spodzie osiadzie biały osad.

L. C.

Obiad na Niedzielę.

1. Barszcz burakowy z uszkami.
2. Szynka na gorąco.
3. Różne jarzyny.
4. Cąber barani z mizeryą.
5. Legumina ze śmietany.

UWAGA.

Tablica krojów odnosząca się do wzorów w dzisiejszym numerze podanych, dołączoną była do 33 numeru *Bluszczu*.